

POD CHOINKĘ PORTRET WŁASNY

kreślony na podstawie badań na str. 10

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXIX ● NR 51-52 ● 21 XII 1986 r.
CENA 30 zł



GŁOS

NAUCZYCIELSKI

W numerze przeczytacie ponadto o wspaniałym gościu p. Przedpełskiego, szczęściu w swoim M, nadziejach na małżeństwo, związkowym turnieju sportowo-rekreacyjnym w Łodzi, także pierwszą pracę w konkursie młodych i inne ciekawe pozycje.



Fot. CAP

ZDROWIA SZCZĘŚCIA POMYŚLNOŚCI

z okazji

zbliżających się

Świąt

I Nowego Roku

życzy swoim

Czytelnikom

i Sympatykom

REDAKCJA

U RADIOASTRONOMÓW W PIWNICACH

WOJCIECH SIERAKOWSKI

DO KRAŃCÓW WSZECHŚWIATA

Widać go już na dobry kilometr przed Piwnicami. Błyszczy w słońcu, zaciekawia, intryguje. W tej chwili wyłączony, jakby odpoczywający. Czasza paraboidalnej anteny, na kształt stalowej paszczy gotowej chwycić, cokolwiek „stamtąd” nadejdzie — skierowana jest pionowo do góry. W pobliżu parterowe pawilony. Nie widać ni żywego ducha. Czyżby to było wszystko —

zastanawiam się czując coś na kształt rozczarowania. W budynkach też jakby bez ruchu. Otwieram jedne drzwi — pusto, słychać tylko delikatny szum komputera i jakichś poblyskujących światłami szaf prawie do sufitu. W drugim pomieszczeniu, to samo. W trzecim — trzech mężczyzn zawzięcie dyskutuje o... programie komputerowym. Przyznam, że spodziewałem się

czegoś innego. To tak wygląda radioastronomia, to jedyne w krajach socjalistycznych (poza ZSRR) obserwatorium radioastronomiczne?

Prof. dr hab. Stanisław Gorgolewski, kierownik katedry radioastronomii na Wydziale Matematyczno-Fizyczno-Chemicznym Uniwersytetu Mikołaja Koperni-

ka w Toruniu, dyrektor obserwatorium w Piwnicach wydaje się być nieco rozbawiony moją zawiedzioną miną. Większość tych, którzy przedtem z radioastronomią nie mieli do czynienia i do Piwnic przyjeżdżali po raz pierwszy, reaguje podobnie. Gdzie rozpalone do białego emocje odkrywcy? Ano właśnie tu, w tym niesłyszalnym dźwięku dochodzącym stamtąd, przekładanym na ciąg liczb interpretowanych przez maszynę. W świadomości, że zapisaliśmy sygnał z gwiazd, z galaktyk odległych od nas o miliony i miliardy lat świetlnych. Czy to nie fantastyczne? Siegamy do obserwowalnych granic wszechświata. Właśnie dzięki radioastronomii.

★

Jak zwykle wszystko zaczęło się od przypadku. Był rok 1932, kiedy Karl Jansky — technik z Bell Telephone Laboratories otrzymał od swych szefów polecenie zbadać poziom szumów występujących w czułych odbiornikach krótkofalowych współpracujących z systemem dalekosiężnej komunikacji. Analizując trzaski powodowane w aparaturze przez wyładowania piorunów nastawił swoją antenę na dowolny punkt nieba i tak określał kierunek, z którego napływały zakłócenia. Odbierane w ten sposób szumy nigdy nie spadały po-

KRONIKA

(od poniedziałku

do niedzieli)

● POSIEDZENIE PREZYDIUM ZG ZNP

8 listopada br. na posiedzeniu Prezydium ZG ZNP uchwalono regulamin organizacyjny Wydawnictwa Pedagogicznego ZG ZNP z siedzibą w Kielcach. Wydawnictwo zostało powołane zgodnie z art. 8 ust. 1 pkt. 9 statutu ZNP, a działa na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów z 22 października 1985 r. w sprawie działalności gospodarczej organizacji społecznych (Dz. U. nr 51 poz. 265). Wydawnictwo, jako wyspecjalizowana jednostka ZNP wydaje następujące tytuły czasopism: „Nauczanie początkowe”, „Język Polski w szkole kl. IV-VIII”, „Język Polski w szkole średniej” oraz „Nauczyciel i Wychowanie”. Na stanowisko dyrektora Wydawnictwa Pedagogicznego została powołana Ewa Pajackowska. Prezydium ZG ZNP powołało również redaktorów naczelnych czasopism związkowych oraz składy rad redakcyjnych. Naczelnymi redaktorami czasopism zostali: prof. dr hab. Tadeusz Lewowicki — „Ruch Pedagogiczny”, prof. dr Ryszard Wroczyński — „Przegląd Historyczno-Oświatowy”, dr Jan Zaciura — „Nauczyciel i Wychowanie”, mgr Irena Chrościel — „Nauczanie Początkowe”, mgr Elżbieta Doroniewicz — „Język Polski w szkole kl. IV-VIII”, mgr Jadwiga Adamczak — „Język Polski w szkole średniej”.

Prezydium zapoznało się także z projektem planu realizacji programu ZNP oraz zaakceptowało zamierzenia inwestycyjno-remontowe na lata 1987—1990 realizowane w ośrodkach wczasowych, sanatoryjnych oraz domach nauczycieli prowadzonych przez ZNP.

● KONKURS NA ODCZYT

W Instytucie Kształcenia Nauczycieli (11 listopada) odbył się 21 zjazd autorów odczytów pedagogicznych. W tegorocznej edycji konkursu uczestniczyło 111 autorów. Nagrodzono i wyróżniono 48 autorów. W zjeździe autorów odczytów uczestniczyli m. in. doc. dr Edmund Staszyński — dyrektor IKN, doc. dr hab. Marian Balcerek — wiceprzewodniczący Krajowej Rady Postępu Pedagogicznego oraz dr Jan Zaciura — wiceprezes ZG ZNP.

● WYMIANA DOSWADCZEN

W dniach 7—13 listopada przebywała w Moskwie 20-osobowa grupa działaczy ZNP z Michałem Langowskim — wiceprezesa ZG ZNP. Działacze ZNP zapoznali się z organizacją pracy związkowej oraz przebiegiem przygotowań do reformy systemu oświaty w ZSRR.

● W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

Na naradzie aktywu związkowego i oświatowego z województw północno-zachodnich, która odbyła się 10 i 11 listopada w Gorzowie Wlkp., omówiono problemy pracy kulturalno-oświatowej w środowisku pracowników oświaty i wychowania. Organizatorem narady, na zlecenie ZG, był Zarząd Okręgu w Gorzowie Wlkp. Uczestniczyli przedstawiciele Zarządu Głównego oraz Zakładu Usług Socjalnych MOiW.

● SZKOLENIE W GDAŃSKU

W Gdańsku, w trakcie szkolenia aktywu związkowego i oświatowego odbyło się spotkanie z Kazimierzem Piłat — prezesem ZG ZNP, który poinformował o głównych problemach pracy ZG ZNP po XXXIV Zjeździe i po Kongresie Związków Zawodowych.

● SPOTKANIA W ZG

W ubiegłym tygodniu, w siedzibie ZG ZNP odbyły się spotkania z grupami działaczy związkowych i oświatowych z Ostrołęki, Uniejowa i Gniewu. Z pierwszą grupą działaczy — z Ostrołęki spotkał się 11 listopada Kazimierz Piłat — prezes ZG ZNP, a z grupami z Uniejowa i Gniewu spotkał się Jan Zaciura — wiceprezes ZG ZNP. W czasie spotkań analizowano uchwały XXXIV Zjazdu Delegatów oraz dyskutowano wnioski wynikające z Kongresu Związków Zawodowych. Dokonano też wymiany poglądów na temat systemu oświaty i wychowania, usytuowania materialnego pracowników oraz warunków życia emerytów i rencistów.

● PRZYJACIELSKA WIZYTA

8—13 listopada przebywała w Warszawie delegacja rumuńskich związków zrzeszających pracowników oświaty, nauki, wydawnictw, kultury i poligrafii. 10 listopada delegacja była gościem Związku. Odbyła rozmowę z kierownictwem Związku, zwiedziła Ośrodek Sanatoryjno-Wypoczynkowy w Jachracie oraz spotkała się z Zarządem Oddziału ZNP — Warszawa-Wola i zapoznała z pracą Domu Nauczyciela przy ul. Działdowskiej w Warszawie.

Zima będzie w tym roku ostra i śnieżna. Tak twierdzi wielu meteorologów. Jak więc wygląda zaopatrzenie placówek oświatowo-wychowawczych w węgiel. Oto garść informacji zebranych przez naszych reporterów z woj. olsztyńskiego.

ILAWA: zastępca inspektora — Józef Mikuczyński — mówi, że w tym roku z zaopatrzeniem szkół w węgiel nie jest źle. Najpierw zaczęto zaopatrywać w opał te szkoły i przedszkola, które leżą na krańcach gminy i do których dojazd, nawet w lecie, jest utrudniony. Zaopatrzono w węgiel także już wszystkie przedszkola położone w pobliżu Ilawy. Dostawy są systematyczne i wszystko wskazuje na to, że w budynkach oświatowych będzie ciepło.

Gorzej natomiast przedstawia się zaopatrzenie w węgiel rodzin nauczycielskich. Sołtysi wciąż się tłumaczą, że mają duże trudności z transportem. Rzeczywiście, trudności są, ale ten fakt nikogo nie mo-

MOIM ZDANIEM

PROSZĘ MNIE ZDJAĆ...

W pierwszych dniach grudnia jeden z prominentnych przedstawicieli handlu wewnętrznego, cały w krygach i uśmiechach godnych naszego narodowego supersubiekta pana Rzeckiego, oświadczył za pośrednictwem szklanego ekranu, że tym razem zakupy świąteczne zostaną tak zorganizowane, iż stanowiąc będą prawdziwą przyjemność dla wszystkich. Ponieważ termin rozpoczęcia tych zniw handlowych uzależniono od decyzji lokalnych władz, w połowie grudnia (a wtedy właśnie piszę te słowa) telewizja pokazała nam obrazki z pierwszej handlowej niedzieli. Zobaczyliśmy więc kiermasze przedświąteczne, ułożone w różnych halach sportowych, na nich rzadko spotykane w normalnych sklepach towary i toki, zbiły, głowa przy głowie tłum ludzi szturmujących stoiska i ustawiających się w tasiecowe kolejki do tak niesłychanych luksusów, jak np. pomarańcze lub kremy do golenia. Jeśli szefowie naszego handlu tak wyobrażają sobie moje marzenia o robieniu jakichkolwiek zakupów, to proszę mnie zdjąć ze stanowiska klienta, gdyż wyrażenie się na nie nie nadaje, wykazując skandaliczne opóźnienia w dziedzinie nadążania za nowoczesnymi trendami.

A teraz poważnie, gdyż sprawa jest naprawdę nie do śmiechu, o czym przekonują np. ostatnie badania nad budżetem czasu dorosłych Polaków. Otóż wynika z nich, że w przeciętnej rodzinie, w drugiej połowie 1986 r. poświęcamy na robienie koniecznych przecież sprawunków już ponad dwie godziny dziennie! Ores dramatycznych niedostatków na rynku dawno się skończył, a ilość społecznego czasu tra-

ŚWIAT

DO TYŁU CZY DO PRZODU?

Nie wydają mi się zreczne analogie z 1968 rokiem, który część naszej prasy przywołuje, pisząc o „gorącej zimie” we Francji. Podobieństwo jest pozorne, tkwi w scenarii — nie w treści wydarzeń. Wtedy był to ostatni — aż do końca właśnie listopada 1986 r. — wielki zryw lewicy, która wprawdzie potrafiła sformułować program, pociągając za sobą społeczeństwo — nie umiała natomiast w sposób konsekwentny i sprawny doprowadzić do wcielenia go w życie. Koszty walki o demokratyzację kraju stały się zbyt wysokie dla samych walczących, a widmo demontażu państwa wpłynęło odstraszająco na wielu zwolenników ruchu. Do kontrataku ruszyła bowiem prawica, dezorganizując działania na rzecz modernizacji wszelkimi sposobami — od anarchizowania tłumów, do jawnej prowokacji. Wielki ruch wówczas przegrał, partia komunistyczna utraciła wpływy w społeczeństwie, a na fali strachu przed powtórzeniem się niepokojów społecznych, rosły w siłę wszelkiego typu tendencje zachowawcze, konserwatywne — z jawnie faszystującym ruchem Jean Marie Le Pen, który dziś skupia wokół siebie ok. 10 proc. dorosłych Francuzów.

Kolejne rządy od 18 lat usiłowały gościć zdobycze socjalne osiągnięte w latach wielkiego społecznego ożywienia, z posulami nurtów zachowawczych, które w o-bawie przed „powtórką w historii” starały się mocniej zabezpieczyć swe pozycje. Skutek: coraz wyraźniejsze dryfowanie władzy

SONDA

BĘDZIE CIEPŁO!

że usprawiedliwić. Mieszkania nauczycielskie muszą być ogrzane. Na najbliższym zebraniu z sołtysami sprawa dostaw węgla dla nauczycieli znajdzie się w centrum uwagi władz gminy.

OSTRÓDA: zaopatrzenie szkół w węgiel jest dobre. Wciąż nadchodzą nowe transporty. Średnio w poszczególnych placówkach znajduje się od 60 do 80 proc. opalu.

GIETRZWAŁD: Inspektor — Eustachy Być — jest zadowolony. Udało się w szkołach zgromadzić zapasy węgla na całą zi-

conego w niczym nie usprawiedliwionych kolejkach lub na poszukiwaniu potrzebnego artykułu nie tylko nie wykazuje tendencji do zmniejszania się, ale przeciwnie — stale rośnie. Jest to fakt alarmujący. Równie alarmujące jest to, co każdy z nas widzi gołym okiem i odczuwa na własnej skórze: brak podejmowania jakichkolwiek kroków, które by chociaż sygnalizowały zmiany w pożądanym kierunku.

Odkąd istnieje Polska Ludowa, nawet w czasach względnej obfitości towarów (a były takie, proszę dziatwy, były), system organizacji handlu zawsze był zły. Klienta traktowano per noga, jeśli dało się, na jego barki przerzucano wysiłek lub koszty np. bieganie z reklamacją (zawsze niechętnie uwzględniane), nie rozpieszczano go także a rakcyjną ekspozycją towaru, np. premiovą sprzedażą. Zawsze też za mało było punktów sprzedaży, personelu — od lat w europejskich statystykach przed zajmowaniem w tej dziedzinie ostatniego miejsca ratowała nas Albania, ale i tam ostatnio podobno coś się zmienia na lepsze. Lata kryzysu doprowadziły do zupełnego zwyrodnienia i tak nie najlepszej organizacji tej ważnej dziedziny życia.

Dziś nasze sklepy to miejsce najbardziej przypominające urzędy niechętnie petentowi, w których traktowany jest on oschle i surowo i jak ma szczęście, to uda mu się coś załatwić (szczytowym wybrykiem w tej dziedzinie jest rejestracja kartek na mięso). Sygnałów, potwierdzających te tezę można zresztą przedstawić dowolną ilość. Choćby system sprzedaży mebli: to, co w sklepach to ekspozycja stała; jeśli ktoś jest tak wybredny, że nie chce ryzykować utrzymania sfoleja pokrytego np. złotym pluszem w lila rzucik — może pojechać do magazynu i wybrać sobie (magazyn jest, oczywiście, czynny najdalej do 17.00 i leży na odległych periferiach). A niechęć do przyjmowania czeków i zlikwidowanie funkcjonującego obgias zwyczajny płacenia za większe zakupy z książeczki oszczędnościowej? Toż to klasyczna egzemplifikacja zasady, że wszystko, co wiąże się z kupnem — to martwienie klienta, w tym także niewygodą i ryzyko, związane z noszeniem przy sobie sum, często przekracza-

w kierunku prawnicowego państwa „silnej ręki”. Tendencje te nasilił i wyeksploatował kryzys ekonomiczny, z którym zbiegło się wkroczenie krajów uprzemysłowionych w erę trzeciej rewolucji przemysłowej. Zjawiska te nie stanowią francuskiej specyfiki — obserwujemy je dość powszechnie, np. w Anglii, krajach Beneluxu, RFN; stymuluje je także napięta sytuacja międzynarodowa, zagrożenie nuklearne i ekologiczne.

Sytuacja Francji jest o tyle wyjątkowa, że zarówno zdobycze socjalne, jak obawy przed powtórzeniem się niepokojów — były stosunkowo silne. Neogaullista Jacques Chirac, pewny poparcia republikańsko-centrystowskiej większości w Zgromadzeniu Narodowym, postanowił proces spełniania postulatów prawicy przyspieszyć. Ograniczenie praw socjalnych, reprivatyzacja kolejnych z nacjonalizowanych gałęzi gospodarki narodowej (z wyjątkiem sprzedania państwowej sieci telewizyjnej) — przeszły mu gładko. Choć i tak musiał aż 6 razy sięgać do danego mu konstytucyjnie prawa niedopuszczania do parlamentarnej debaty nad rządowymi projektami ustaw.

Kolej przyszła na wyższe uczelnie. Jest ich we Francji 74, stanowią istotne obciążenie budżetu państwa i „produkują” absolwentów, którzy w dobie kryzysu powiększają armię bezrobotnych, dodajmy: bezrobotnych, którzy potrafią upominać się o swoje prawa. Zasadnicze cechy rządowego projektu ustawy o wyższych uczelniach (przyjętego bez żadnego rozgłosu przez Izbę Wyższą Zgromadzenia), to reprivatyzacja sieci szkolnictwa wyższego (za tym idzie wprowadzenie wysokiego, nie kontrolowanego przez państwo czynszu), ograniczenie liczby uczelni, mających prawo przyznawania tytułów magisterskich (a więc podział na lepsze i gorsze dyplomy), wprowadzenie swego rodzaju wadium finansowego dla kandydatów na studentów (procent nie kończących studia wynosi 50

mę. Jest to zasługa przede wszystkim miejscowych władz, które dobrze zdają sobie sprawę z tego, że bez opalu nie będą mogły odbywać się lekcje. W węgiel zostali też zaopatrzeni wszyscy nauczyciele mieszkający w tej miejscowości.

BIESAL: dyrektorka szkoły mówi nam, że cały zapas węgla na zimę jest już na miejscu. Lekcje będą się mogły odbywać nawet w najsilniejsze mrozy.

Czy podobnie jest i w pozostałych placówkach oświatowo-wychowawczych woj. olsztyńskiego?

Wicekurator oświaty i wychowania — Józef Rusiecki — powiedział nam, że o dostawach węgla do szkół i przedszkoli pomyślano wcześniej, zdążono z dystrybucją i na ogół z transportem. W zasadzie więc w szkołach zgromadzono spore zapasy opalu na zimę.

TEN FAKT CIESZY! CZY PODOBNIEST JEST I W INNYCH WOJEWÓDZTWACH? CZEKAMY NA SYGNAŁY. (ZP)

Warto jeszcze wspomnieć, że bywa u nas handel także szafarzem różnych radości i wręcz łask. Tak np. ostatnio jest z cytrynami. Od prawie dwu miesięcy słyszymy i czytamy zapowiedzi, że te nadzwyczajne delikatosowe owoce będą w stałej sprzedaży. Tymczasem prawda jest taka, że hy-wają od czasu do czasu w sklepach nie najlepsze gatunkowo cytryny po rzeczywistości-delikatosowej cenie — 600 zł; w skutek przetrzymywania w magazynach, duża część jest już zepsuta. Także handel, sugerując zrobienie niezwykłej świątecznej frajdy zapowiada, że np. „Społem” „postara się” dostarczyć na rynek niewielkie ilości kawy (za drogie — dodam — pieniąd-ze).

Takie i temu podobne przykłady można by mnożyć, nie w tym jednak rzecz. Najwyższy czas, by sprawę sprowadzić do właściwych proporcji. Handel jest po to, by nas wszystkich obsługiwać — nie darmo, płacimy za tą usługę i na całym świecie inni na niej robią duże pieniądze. Nas wszystkich bowiem nie stać na to, by tracić cenne społecznie godziny na stanie w kolejkach, szukanie potrzebnych przedmiotów i szarpanie sobie nerwów potrzebami z bezsensu, który zyskał sobie prawo obywatelstwa w instytucji, która ludzie powołali parę tysięcy temu po to, by sobie ułatwić życie.

W dobie reformy gospodarczej te ponad dwie godziny dziennie tracone przez nas wszystkich na zakupy dają się bez trudu przeliczyć na zbyt wolno rosnącą wydajność pracy, wyskakiwanie „na chwileczkę” z urzędu czy instytucji, zmęczenie i rozdrażnienie, a więc też międzyludzkie stosunki w miejscu pracy, tramwaju, na ulicy. Są to niewyobrażalnie większe koszty niż te, które pociągnie doprowadzenie do porządku organizacji handlu.

MARIA KALIŃSKA

— w warunkach wzrostu kosztów kształcenia, stanowiłoby ono rolę gwarancji, że kandydata stać na skończenie studiów) oraz cofnięcie studentom wszelkich państwowych uprawnień socjalnych.

Rząd był zdecydowany przeformować ten projekt. Opublikowanie go wywołało lawinę wydarzeń, które przez prawie trzy tygodnie nie schodziły z czołowych miejsc w prasie. W bilansie zapisano jednego zabitego, wielu bardzo ciężko rannych, gdyż interwencje policji były wyjątkowo wprost brutalne i próbę organizowania przez prawnicę prowokacji w stylu roku 1968 (palenie samochodów przez rzekomych demonstrantów, rozbijanie sklepów i lokali publicznych przy biernej postawie policji). Doświadczenia sprzed 18 lat nie poszły jednak na marne — teraz wszyscy wiedzieli „co jest grane”. W rezultacie Chirac wycofał się na całej linii z rządowego projektu, przyjął dyktando jego autora. Zaczyna także mówić o ewentualnym „zmiękczeniu” innych przygotowywanych aktów prawnych, w tym ustawy o otwarciu prywatnych więzień. Przywódcy studenckiego protestu zapowiadają jednak kontynuację walki, rzecz w tym, że przyjęta już ustawa budżetowa na rok przyszły nie przewiduje finansowania wyższych uczelni.

Jak się sytuacja rozwinie dalej — zobaczymy. Nie ulega natomiast wątpliwości, że ruch niepokojów społecznych, stanowiący odpowiedź na skręt w prawo rządów czołowych państw kapitalistycznych — po Anglii i RFN — ogarnął Francję.

Smutną pointę tej sprawy stanowi fakt, że autorem tak burzliwie zakwestionowanej ustawy jest dr Alain Devaquet, były już minister szkół wyższych. Przed rozpoczęciem kariery politycznej był dobrze zapowiadającym się fizykiem. Jako syn drobnego piekarsza, w warunkach opraco-wanej przez siebie ustawy, nigdy — ze względów majątkowych — nie dostałby się na studia. (MAK)

SĄ WŚRÓD NAS

Zbieracz, kolekcjoner, historyk... Taki jest MARIAN PRZEDPELSKI. Jak długo mógł, pracował w szkole. Dziś jest na emeryturze. Jego mieszkanie w Warszawie, przy ulicy Pułku Baszta, jest małym muzeum. Na ścianach obrazy olejne, na półkach, parapetach, szafach — książki, encyklopedie, słowniki różnych europejskich wydawnictw, stara porcelana, rzeźby w drewnie, ludowe wycinanki, hafty...

— To tylko mała część dorobku mojego życia — mówi pan Marian. — Resztę zbiorów przechowuję w innych pomieszczeniach. Jedno z nich znajduje się niedaleko stąd, drugie w drewnianej, słomą krytej chałupie w województwie ciechanowskim. Ile tego wszystkiego będzie? Cóż — kilka tysięcy tomów książek, w tym wiele tak zwanych białych kruków i kilkaset innych eksponatów, które gromadziłem od ponad pół wieku. Teraz robię inwentaryzację, bo wiem wszystko, co zebrałem, cały ten dorobek mego życia, postanowiłem przekazać społeczeństwu. Konkretnie: Towarzystwu Naukowemu Płockiemu, Muzeum Okręgowemu w Ciechanowie, szkole w Bieżuniu oraz bibliotece gminnej w tej miejscowości. W Płocku znajduje się już część moich zbiorów, co mnie naprawdę bardzo cieszy...

Starszy pan siedzi przy biurku, spisuje cierpliwie tytuły swoich białych kruków, opracowań historycznych, wyciera z kurzu eksponaty, żeby wyglądały jak najwspanialej i opowiada o sobie, rodzinie, swej pasji kolekcjonera, która nie pozwalała na zmęczenie lecz wyzwala energię i siły do poszukiwania, wędrowania z plecakiem od wioski do wioski, by odkrywać rzeczy ciekawe, nietypowe, jedyne w swoim rodzaju, zapisywania ginących legend, baśni, opowieści, ludowych melodii, które dziś można odtworzyć dzięki zapisowi nutowemu...

Jest rodem z Warszawy. W tym mieście zdobywał wykształcenie. Pragnął rozpocząć pracę w szkole jako nauczyciel. Ale w tamtych przedwojennych latach niełatwo było ją znaleźć, choć wydeptywał ścieżki do różnych oświatowych urzędów.

W latach trzydziestych przy Zarządzie Głównym ZNP istniało koło bezrobotnych nauczycieli. Był jego członkiem, chodził na zebrania i dokształcał się z zakresu historii i etnografii oraz czekał na ten wolny etat. Ale równocześnie trzeba było jakoś żyć. Więc trzepał bogatym dywanem, nosił do mieszkań wodę, mył szyby, froterował podłogi.

Po dwóch latach takich zajęć wreszcie upragniona wiadomość: jest wolne miejsce

dla nauczyciela na kursach dla dorosłych przy ulicy Szerokiej. Przyjęli. Można było stanąć na nogi, zacząć żyć, wreszcie zacząć wiązać koniec z końcem.

Już wtedy zaczął swoje zbieranie. Skupował w antykwariatach stare książki, albumy, atlasy, ryciny. W czasie wypraw krajoznawczych docierał do wsi i osiedli zagubionych w lasach, zaglądał do ciekawych dworzków i szukał swoich skarbów po zakamarkach, strychach i stodolach. Znajdował dawny sprzęt gospodarstwa domowego, narzędzia, hafty, zapisywał legendy i podania, a potem w rodzicielskim domu porządkował znaleziska, odnawiał co bardziej podniszczone. W ten sposób powiększał swoją kolekcję.

W roku 1936 ożenił się. Żona dzieliła jego radości i smutki, wędrowała wraz z nim po kraju, pomagała mu, jak mogła i potrafiła. Było im razem szczęśliwie.

Wojna była szokiem dla obojga.

— Wtedy, we wrześniu, byłem bardzo chory: leżałem w szpitalu w Otwocku — wspomina pan Marian. — W czasie wędrowek, i marnego, mimo pracy, życia, nawiązałem się gruźlicy. Kiedy już dochodziłem do siebie, przyszedł do szpitala hitlerowcy. Wyrzucili nas wszystkich z łóżek. Wróciłem do domu, ale w kilka miesięcy później musieliśmy go opuścić. Przeniosłem się wraz z żoną do jej rodziców na wieś, zabierając ze sobą część zbiorów. Wraz z teściem załadowaliśmy je na wóz i wieźliśmy ze stolicy aż do Karolewa, ponad 100 kilometrów...

Przebywał w tamtych okolicach prawie całą okupację. Nie siedział jednak bezczynnie, choć jako obcy w tych stronach musiał się mieć stale na baczności. Nie uniknął jednak kontaktów z hitlerowcami, którzy kilkakrotnie niemiłosiernie go pobili. Za to, że nie zdjął przed nimi czapki, że nie zszedł przed nimi z chodnika na jezdnię. Stracił częściowo słuch. Przeniósł się, ze względów bezpieczeństwa, z Karolewa do Somborza. I tam wraz z żoną zaczął prowadzić tajne nauczanie. Tak o tym pisze we wspomnieniach: „Szkoła w Somborzu mieściła się w domu Heleny Borkowskiej, w izbie o powierzchni około 8 metrów. Dzieci przychodziły na lekcje pojedynczo, a zeszyty oraz książki przynosiły pod kołszulą. Nie było nigdy żadnej wpadki, gdyż wszyscy jednoczyliśmy się, widząc w tajnym nauczaniu podtrzymywanie polskości oraz siłę, która pozwala przetrwać nawet najcięższe chwile.”

Po wojnie wrócił — mimo słabego słuchu — do szkoły. Najpierw pełnił funkcję

inspektora szkolnego w Lipnie, a następnie powrócił na swój nauczycielski etat do zniszczonej Warszawy. Był pedagogiem w szkole nr 149. Oczywiście o swojej pasji nie zapomniał. Pozbierał to, co udało się pozbierać, wzbogacał kolekcję o nowe eksponaty, które dziś ozdabiają Płock, wzbogacając Ciechanów, Bieżuń...

Mam przed sobą „Sprawozdanie z działalności Towarzystwa Naukowego Płockiego z roku 1978”. Sprawozdanie to pokazuje rozmiarów, opracowanie bogato ilustrowane, zawierające różnorakie teksty o działalności tego wielce zasłużonego dla regionu płockiego i kraju Towarzystwa. Na stronie 97 tego sprawozdania fotografia przedstawiająca pana Mariana Przedpełskiego w otoczeniu członków Towarzystwa. Pod zdjęciem podpis: „W dniu 29 grudnia 1978 roku podczas posiedzenia Zarządu TNP, zasłużony nauczyciel Marian Przedpełski z Warszawy, członek Towarzystwa od 1934 roku, przekazał do rąk prezesa Jakuba Chojnackiego klucze do pokoju, w którym znajduje się 713 eksponatów ofiarowanych Towarzystwu przez niego i jego żonę. Dar ten — wartości 600 tysięcy złotych — stanowi dorobek ich życia. Od tego dnia pokój ze stałą ekspozycją nazywa się „Sala Etnograficzna TNP imienia Małżonków Heleny i Mariana Przedpełskich”!

— Pozostanie po nas cząstka naszej pracy, naszej pasji i trudu. Bo ja postanowiłem od dawna — a moja żona w pełni się ze mną zgadzała — że te zbiory przekazemy społeczeństwu. Dlaczego tak zdecydowaliśmy?... Widzi pan redaktor, to jest tak: mogłem to wszystko sprzedać, spieniężyć, dorobić się majątku w postaci większego mieszkania, samochodu, czy ja wiem czego tam jeszcze... Przecież sklepy „Desy” czekają na takie, jak moje, rarytasy i placą za nie słono. Wszystko to prawda, a jednak postąpiliśmy słusznie. Być może takie rozumowanie dziś nie przystoi, wzbudza śmiech otoczenia, ale nie na to nie poradzę. Chciałbym teraz tę moją kolekcję zobaczyć w muzeum, izbie pamięci, szkole... Tak jak jest w Płocku, będzie jeszcze w Ciechanowie, Bieżuniu. Właśnie dziś zabrano dalszą część moich zbiorów do Muzeum w Ciechanowie. Zajechali samochodem, załadowaliśmy. Przyjadą następne, wezmą to, co im przygotowałem. Szkole chciałbym ofiarować jeszcze coś ekstra. Plansze, zdjęcia, szkice przedstawiające dzieje Polski i Mazowsza, sławę i chwałę oręża polskiego. Bo historia — to też moja pasja. Jestem autorem wielu opracowań. Zajmowałem się Powstaniem Listopadowym, Powstaniem Styczniowym na ziemiach północnego Mazowsza, opracowałem sylwetki uczestników tych powstań. Dysponuję własnym opracowaniem o marszu

króla Władysława Jagiełły pod Grunwald, ze szczególnym uwzględnieniem przemarszu przez Mazowsze, zajmowałem się też „Krzyżakami” Henryka Sienkiewicza, mam wiele własnych prac o sławnych Polakach, między innymi Ignacym Paderewskim, Zygmuncie Krasińskim. A czy pan redaktor słyszał może o oficerach włoskich walczących u boku Polaków w Powstaniu Styczniowym?... Tak, tak, pułkownik Francesco Nullo... O nim wiele wiadomo. Ale czy słyszał pan o pułkowniku Ludovico Navone i majorze Camillo Lencisie? Byli nie mniej dzielni. Odkryłem ich mogiły, odnowiłem je... Mam tu w szafach notatki do około 50 tematów etnograficznych z różnych miejscowości Mazowsza. Chciałbym to zdążyć opracować dokładniej i wydać drukiem, ale czy starczy sił? Żona umarła, ja trwam i wciąż pracuję, jak mogę. A sił trzeba, żeby przebrnąć przez tę naszą biurokrację. Nawet zbiorów nie można tak łatwo przekazać. A to, a tamto... Czasem ręce opadają...

List kierownika Szkoły nr 146 w Warszawie z 20 czerwca 1952 roku: „Dziękuję Marianowi Przedpełskiemu — nauczycielowi naszej szkoły — za zorganizowanie wielu wycieczek do placówek oświatowych powiatów — sierpeckiego i mławskiego. Wycieczki te były bardzo ciekawe i pożyteczne. Nasza młodzież poznała tradycje wsi, ich urok i pracę rolników. Dzięki inicjatywie M. Przedpełskiego przekazaliśmy szkole w Somborzu bibliotekę złożoną z 600 tomów. Gościliśmy też wielokrotnie dzieci z tamtych wiejskich miejscowości. Za pieniądze zaoszczędzone przez naszą młodzież i z funduszy Komitetu Rodzicielskiego naszej szkoły wyremontowana została szkoła w Somborzu. Przekazaliśmy też tamtejszej młodzieży pomoce naukowe i sprzęt sportowy.”

I co tu jeszcze dodać?

Poznałem go przypadkowo. Przyszedł do redakcji i zapytał, czy nasz kolega redaktorski, fotoreporter Marek Suchecki nie zechciałby mu wywołać kilku klisz fotograficznych.

— Bo chcę tej swojej szkole w Bieżuniu przekazać nie tylko część moich zbiorów, ale i plansze fotograficzne, które mogłyby służyć jako pomoce naukowe na lekcjach historii.

Zamówienie przyjęliśmy, zdjęcia już są gotowe.

Wyślemy je, drogi panie Marianie.

Jak to dobrze, że tacy ludzie są wśród nas.

ZBIGNIEW PAWLOWSKI

40 LAT
UNICEF

SUMIENIE ŚWIATA

Do utworzenia Międzynarodowego Nadzwyczajnego Funduszu Narodów na Rzecz Dzieci doszło 11 grudnia 1946 r. na mocy rezolucji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Organizacja ma polskie pochodzenie, bowiem ideę powołania tego funduszu zgłosił jeszcze przed II wojną polski lekarz Ludwik Rajchman, ówczesny szef Biura Zdrowia Ligi Narodów. Został on także pierwszym przewodniczącym funduszu.

Na początku swej działalności UNICEF koncentrował się na udzielaniu doraźnej pomocy dzieciom, ofiarom II wojny światowej. Korzystały z niej wówczas dzieci europejskie, w sumie ponad 30 mln. W 1953 r. fundusz przekształcono w stałą, wyspecjalizowaną agendę ONZ, nadając jej obecną nazwę: Funduszu Narodów Zjednoczonych na Rzecz Dzieci. Zmienił się także zasięg i rodzaj pomocy: środki finansowe zaczęto kierować dla dzieci z Trzeciego Świata. Takie preferencje utrzymywane są nadal.

Dzisiaj fundusz dysponuje budżetem około miliarda dolarów rocznie, na który składają się dobrowolne wpłaty państw

członkowskich (32), pieniądze ze źródeł pozapaństwowych, ze sprzedaży materiałów propagandowych. Kwota ta przeznaczona jest na ochronę zdrowia i życia, oświatę, wyżywienie. UNICEF udziela w tych zakresach pomocy rządów, zwłaszcza państw rozwijających się. Finansuje i pomaga w budowaniu oraz wyposażeniu fabryk produkujących żywność, leki; dostarcza szczepionki i żywności dla dzieci na obszarach objętych działaniami wojennymi — remontuje tam szkoły, kliniki, szpitale, ujęcia wodne; spieszy z pomocą w wypadku klęsk żywiołowych.

Najwięcej uwagi fundusz poświęca problemowi zdrowia. Realizuje program swojej „rewolucji na rzecz dzieci”, jej celem jest uratowanie życia choć połowie spośród 15 milionów dzieci, które rocznie umierają, a których śmierci można by zapobiec. W tym celu prowadzi akcje szczepień przeciwko chorobom zakaźnym: plany przewidują objęcie nimi do 1990 r., przeciwko sześciu chorobom zakaźnym wszystkich dzieci świata. Tylko w 1985 r. udało się uratować dzięki szczepieniom milion dzieci.

W zakresie działania UNICEF pozostają: upowszechnienie terapii przeciwko infekcyjnemu odwodnieniu organizmu niemowląt, popieranie naturalnego karmienia, ochrona czystości środowiska, uświadamianie matek o zasadach higienicznego przygotowywania posiłków z produktów miejscowych. W wielu krajach działają krajowe i międzynarodowe ekipy przeszkolone w udzielaniu pomocy dzieciom i ich opiekunom. Postęp jest duży, choć nadal miliony przyszluszy pozostają takie działania jak planowanie rodziny, dożywianie, higiena...

Największym sukcesem w czterdziestoletniej działalności organizacji jest poruszenie sumień, wyrobienie wrażliwości społeczeństw na los i krzywdę najmłodszych obywateli świata — bez względu na ich narodowość. Rolą UNICEF, jako obrońcy i adwokata dzieci, było i jest uświadamianie światu, że postęp i rozwój niewiele znaczą, jeżeli nie zapobiegają nieszczęściom, którym można zapobiec, nie chronią tych, którzy sami bronić się nie mogą. Zaprzeczają temu rzeczywistość. Po raz pierwszy od 40 lat, stwierdził dyrektor generalny James Grant, na całym świecie postęp w dziedzinie opieki nad dzieckiem uległ zahamowaniu, a nawet zamazaniu się pewna regresja. Ograniczenie pomocy finansowej dla państw trzeciego świata bierze się przede wszystkim z rosnącego tempa zbro-

jeń. W 1984 r. świat wydał na zbrojenia ponad 900 mld, codzienne wydatki na ten cel pochłaniają 3 mld dolarów. Tymczasem dla uratowania jednego dziecka potrzebne jest zaledwie 100 dolarów, szczepionka przeciwko biegunce kosztuje 5 centów, a przeciwko sześciu chorobom zakaźnym 50 centów. Na szczęście dzieciństwu potrzeba tak niewiele...

Polska aktywnie uczestniczy w międzynarodowej działalności na rzecz dzieci, co wynika z humanitarnych tradycji naszego narodu i tragicznych doświadczeń II wojny światowej, była także inicjatorem dokumentów, m. in. uchwalonej w 1959 r. przez ONZ Deklaracji Praw Dziecka. W 1978 r. rząd nasz wniósł do ONZ propozycję uchwalenia Konwencji Praw Dziecka, która w przeciwieństwie do Deklaracji, będzie miała — po ratyfikowaniu przez zainteresowane państwa, moc obowiązującą. Prace nad konwencją trwają.

Ocenia się, że 40 lat działalności UNICEF dowiodło, iż ta organizacja międzynarodowa jest najbardziej skuteczną ze wszystkich agend pomocy ONZ.

(LJ)



Z NIEBEM NA DACHU

TERESA KONARSKA

Cztery pokoje i kuchnia. Cała w błękitie. Bładoniebieska tapeta, firanki i zaslonki. Pachnie szarlotką. Osiemdziesiąt pięć metrów szczęścia. Niewielki dom. Wizytówki jeszcze nie ma, ale będzie KRYSZYNA, WALDEMAR, ANIA i BEATKA BLUSIEWICZOWIE.

Gdzie jesteśmy? Dyrektor Jan Wołczyński zapewnia mnie, że zatrzymaliśmy się w Kuziach, co do tego nie możemy mieć żadnych wątpliwości, gdyż sam ołówkiem „lokował” wieś na mapie, jej autorzy bowiem nie zauważyli tak niewielkiej miejscowości. Złośliwi mogliby rzec, że zadziałał perspektywicznie, gdyż jak twierdzi dyr. Wołczyński — wieś się starzeje i wydłudnia. Liczba dzieci maleje systematycznie. Kiedy obejmował szkołę osiem lat temu — było ich 474, a w tym roku już tylko 226. Do szkoły dwie „bonanzy” dowożą dzieci z dwóch sąsiednich wsi. Wyki i Gawrychy. A więc jesteśmy w Łomżyńskim, za Narwią i w sercu Kurpiowszczyzny.

A Kurpie lubią nauczycieli. — To wspaniali ludzie, chociaż pamiętliwi — mówi Ewa Kamińska, prezeska Okręgu ZNP w Łomży. A ponieważ nic nie dzieje się bez przyczyny — zapewne i dlatego w Łomżyńskim coś drgnęło z budownictwem dla nauczycieli, bo przecież trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek zmagania budowlanych bez pomocy mieszkańców. Ale najpierw trzeba było rzucić pomysł.

Jak wspomina koleżanka prezes, już na pierwszej konferencji — tuż po odwiezieniu ZNP — gorąco dyskutowano o bardzo źłej, wręcz tragicznej sytuacji mieszkaniowej nauczycieli uczących w małych wioskach. W tym alarmistycznym tonie przesłano wnioski z okręgu do kuratorium. Kurator Stanisław Krasowski rzucił hasło: „domek za milion”. Wspomina o tym dzisiaj wicekurator Bolesław Podobiński.

— Wyszliśmy z tą propozycją w daleki teren. Na wszystkich spotkaniach z gminnymi radami narodowymi i naczelnikami proponowaliśmy: jeśli chcecie wyjść z impasu i ruszyć z budową domów dla nauczycieli — skorzystajcie z naszej oferty! Wy załatwicie lokalizację i stan zerowy, a my zmontujemy wam domek z gotowych elementów.

Niektóre gminy odrzuciły pomysł a priori. Inne zastanawiały się. Natomiast Filka załatwiło sprawę od ręki. Między innymi naczelnik Zenon Białobrzski, nie czekając na cudowne zarządzenie losu, osobiście zmontował brygadę budowlaną dla „stanu zerowego”. I tak się w Kuziach zaczęło.

Już właściwie od momentu lokalizacji — z czym nie było problemu, bo prawie w każdej wsi placu szkolnego jest dosyć — rodzina Blusiewiczów wiedziała, że im właśnie domek zostanie przydzielony. Pracują 18 lat, w tym aż 14 w szkole w Kuziach.

Z okien swojego pokoju i kuchni patrzyli na miejsce, w którym miał wyrosnąć ich domek, z bijącym sercem. Nikt bowiem dotąd nie wymyślił czegoś, za czym tęsknilibyśmy bardziej, niż za własnym domem. I w sensie symbolicznym, i za realną bryłą architektoniczną. — Ciągłe nam się marzy ileś M, albo „mały i niekoniecznie biały”, bez sąsiada na piętrze i z niebem na dachu. I pomyśleć, o ile mniej zmar-twień mieliby inwestorzy i budowlani,



gdybyśmy się kiedyś pozbyli tego atawistycznego pragnienia — posiadania własnego i nie ciasnego gniazda!

Domek stanął błyskawicznie. Cały montaż wraz z pracami wykończeniowymi; centralne, światło itd., trwał około pięciu miesięcy. A Waldemar Blusiewicz siedział cały czas na budowie. W takim montażowym domku pod samymi parapetami zmieści się worek paku albo i dwa. Cała kosmetyka budynku i wykończenie też należało do ojca rodziny, na zasadzie: pańskie oko konia tuczy. I chociaż to tak niedawno, nie pamiętają już tych wszystkich trudów.

Dla pani Krystyny wielką frajdą była np. możliwość usytuowania okien i ścian tak, jak to sobie sama zaprojektowała, wręcz wymarzyła. W czasie montażu można było jeszcze dużo zmienić. W jednym pokoju połączyć dwa okna na jednej ścianie, w drugim zlokalizować po jednym oknie na dwóch ścianach. Domek jest parterowy, a więc nie ma ścian nośnych, można więc było dać upust swojej fantazji i wizji architektonicznej. Dosłownie można było biegać po domu z jedną ścianą i przy-mierzać ją w różnych miejscach. Gospo-

dynie zaprojektowała cztery pokoje i kuchnię. Koleżanka prezes widziałaby tutaj jeden duży pokój i dwa mniejsze. Natomiast koledze wizytatorowi z wydziału kadr kuratorium, Stanisławowi Olbrysiowi, podobało się właśnie rozwiązanie Blusiewiczów, a zwłaszcza kwadratowy hal.

Z osiemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych wykrojono pokój dla Ani i Beatki, w którym znajduje się królestwo lalek i misiów. Sypialenkę dla dziewczynek. Trzeci pokój jest ulubionym pani domu, fotele, kanapa, telewizor — ciepło, cicho i kameralnie. Czwarty, to living-room gdzie właśnie jesteśmy podejmowani wspaniałą szarlotką i kawą. Do stołu podawała sama pani prezes, w fartuszu z motywem kurpiowskim, własnoręcznie dzierganym przez panią domu. Dowiedzieliśmy się zresztą, że pani Krystyna w długie wieczory wyszywa także serwetki dla „Cepelii”, reperując w ten sposób rodzinny budżet. Bo wiadomo — nowy dom, ileż to wydatków.

Kuchnia jest już prawie urządzona. Jest pralka automatyczna i lodówka oraz wszystkie sprzęty potrzebne współczesnej gospodyni. Kuchnia jest duża. Taka, o jakiej marzy tysiące kobiet, ze stołem pod

oknem, za którym może zasiąść cała rodzina. Zmieści się w niej jeszcze wiele rzeczy potrzebnych w gospodarstwie. Pokoje są urządzone, ale przecież przydałby się jeszcze jakiś stolik, półka, dywanik.

Razem z nami rodzina Blusiewiczów przeżywa wszystko jeszcze raz. Nie mogli znaleźć wykładziny na podłogę. Wreszcie znaleźli. Potem położyli tapetę. Wtedy widzieli już, że to naprawdę ich dom.

— Kiedy stałam w drzwiach, nie mogłam uwierzyć, że to jest prawdziwe. Nawet nie marzyłam o takim domku — mówi Krystyna Blusiewicz. — Bardzo wiele osób z okolicznych wsi przyjeżdżało i oglądało nasz domek. Wszyscy byli zachwyceni rozwiązaniem wnętrza. Nie wierzyli też, że domek ten stanął w tak krótkim czasie.

A co także ważne dla gospodyni domu, wszystkim kolegom ze szkoły i samo mieszkanie, i jego urządzenie bardzo się podoba.

Wprowadzili się w lipcu, tuż przed urodzinami Ani. Minał już rok. Przeżyli zimę śnieżną i srogą. Okna są szczelne i w domku jest ciepło.

Jedyny kłopot to brak węgla. Co prawda w piwnicy, gdzie mieści się kotłownia, leży sterta opału, ale pali się on, jak wiadomo szybko... Zgodnie z limitem przyznawanym na sezon ogrzewczy — obliczonym raczej dla zahartowanych, a nie dla rodzin z dziećmi — przysługuje im pięć ton węgla. Niestety, żeby nie zmarznąć, drugie tyle trzeba „zorganizować we własnym zakresie”. I to właściwie jedyny kłopot. Naprawdę!

Takich szczęśliwców, jak rodzina Blusiewiczów, w Łomżyńskim jest więcej. Jak wspominał wicekurator Podobiński, w 1984 r. zaplanowano do realizacji dziewięć takich domków i wszystkie zostały już ukończone. Właśnie jednym z pierwszych był domek w Kuziach. Na rok następny zaplanowano także dziewięć domków, w tym jeden bliźniak. Budowa jest w toku. Najbardziej kłopotliwą fazą budowy jest stan zerowy. Trzeba robić bowiem fundamenty solidne, z podpiwniczeniem, gdyż tam znajduje się kotłownia. Z tego właśnie powodu stan zerowy jest dosyć kapitałochłonny, na przykład w domku Blusiewiczów — gdzie w podziemiach jest też piwnica i garaż — wynosi on ponad milion złotych. Czyli tyle samo, co skorupa domu, to zna-

czy elementy do montażu. Następne „ponad milion” konsumuje transport z montażem. W sumie jest to inwestycja za ponad trzy miliony.

Dowiedziałam się od wizytatora Olbrysia, że gminy wątpiące w powodzenie akcji „domek za milion” (a właściwie za trzy) ostatnio żywo interesują się tym pomysłem.

Właśnie na takie dwa bliźniaki po trzy pokoje każdy, plus garaż, ma apetyt dyrektor Wołczyński. Plac jest uzbrojony — pokazuje mi teren w pobliżu szkoły. Można by się więc pokusić o następne domki dla nauczycieli.

— W zasadzie — mówi — sytuację mieszkaniową nauczycieli mam opanowaną, bo jest i dom nauczyciela usytuowany blisko szkoły i dom adaptowany po ośrodku zdrowia (są tam dwa mieszkania). Niestety, właśnie tam standard lokali, jakkolwiek jest centralne ogrzewanie i woda, nie jest najlepszy — są po prostu wilgotne. Właśnie z myślą o mieszkających w nich nauczycielach kolega dyrektor marzy o tych domkach. Brakuje mu także matematyka i polonisty. Gdyby mógł im zapewnić taki „mały i niekoniecznie biały”, ofert miałby bez liku!

A więc?!

Zdjęcia: Czesław Górski



GDY SIĘ CHCĘ POWIEDZIEĆ

JEDNO SŁOWO „MY”

Ilu naprawdę mieszka w naszym kraju samotnych — nie wiadomo. Rocznik Statystyczny określa ich liczbę na 7 milionów osób powyżej 20 roku życia, w tym 4 miliony kobiet. Dane to względne, bowiem zbyt wiele form przybiera wspólne bycie, by je ścisłym liczbom podporządkować. Ale choćby pobieżne przejrzenie ogłoszeń matrymonialnych w prasie przekonuje o wadze problemu, któremu na imię samotność.

— Nie mam szans — pisze wiejska nauczycielka — wszyscy wokół pożeni, okazji do zawierania nowych znajomości brakuje. W dodatku jestem niechętnie widzianą osobą w lokalnym towarzystwie, bo w mniemaniu niektórych pań zagrażam ich małżeństwom i w ogóle jestem gorsza, bo nikt mnie nie chciał. Co robić? Wyjść za rolnika czy uciec do miasta? Ale co to zmieni...

— Do pracy jeżdżę w tłumie, zakupy także robię w tłumie, a potem, w domu, czuję się taka samotna, że odczuwam to nieomal jak ból fizyczny — zwierza się trzydziestokilkuletnia nauczycielka z dużego miasta. — Każda kolejna znajomość okazuje się nietrwała. Wieczorami zapracowuję się albo długo czytam, żeby szybko usnąć. Ale nie mam odwagi zdecydować się na złożenie oferty w jakimś biurze matrymonialnym. Wiem, że jest to irracjonalne, ale boję się zrobić ten pierwszy krok...

— Czy tym biurom matrymonialnym można zaufać, powierzyć swoją sprawę? Mam pewne obawy. Z rozmów ze znajomymi odnoszę wrażenie, że odbywa się tam swoisty przetarg, licytacja, gdzie kładzie się na szalę człowieka i jego dobra materialne — wyraża niepokój jeszcze inna czytelniczka.

Gdzie i z kim porozmawiać o tych problemach i wątpliwościach? Wybrałam się do „Halszki” w Żarach: biura matrymonialnego znanego z anonów w gazetach, m.in. w „Głosie”.

Na miejscu zaskoczenie. Nikt nie potrafi udzielić informacji, jak trafić do biura. Mam wrażenie, że tym pytaniem wprowadzam ludzi w zakłopotanie. No bo skąd ten rumieniec na twarzach? Jakby chcieli

dziać tu takie same prawa, jak na wolnym rynku: szybka wymiana listów, częste bezpośrednie kontakty, aktywność, sprzyjają znalezieniu towarzysza życia.

Zajrzyjmy do niektórych ofert:

Gdańskie, p. Maria, panna lat 30, 160/61, oczy niebieskie, włosy jasne, mgr inż. ogrodnictwa, nauczycielka, warunki mieszkaniowe i materialne dobre. Pozna pannę do lat 30, 158—178, dziewicę.

Wałbrzyskie, p. Bolesław, kawaler lat 31, 176/119, włosy ciemne, lekka łysina, technik elektronik, bez mieszkania, warunki materialne dobre. Pozna pannę do lat 30, 158—178, dziewicę.

Są również oferty panów z zagranicy — z RFN, Holandii, Szwecji:

— Holandia p. Henrik, kawaler lat 35, 183 cm, producent skrzypiec, zna angielski, niemiecki, holenderski, Pozna panią do lat 35, do 175 cm, szczupłą bezdzietną.

Pytanie o stosunek Polaków do usług biura matrymonialnego jest pierwszym, jakie zadaje, gdy już siedzimy przy kawie w stylowo urządzonej mieszkaniu państwa Haliny i Zdzisława Dąbków.

— To prawda, o takich usługach mówi się z wypiekami na twarzy, traktuje je wstydliwie. Istnieje przekonanie, że osoby z nich korzystające to życiowo niedorajdy, fajtlapy, bądź ludzie ułomni. Radio i prasa najczęściej traktują ten temat jako sensację, co nie ułatwia decyzji naszym ewentualnym klientom — tłumaczy mi pan Zdzisław.

— Musimy się liczyć z mentalnością społeczeństwa. Przecież naszym zadaniem jest pomóc, a nie zaszkodzić klientom. Dlatego listy wysyłamy bez pieczętki, dyskretna jest pierwszą zasadą naszej pracy.

W listach powtarzają się takie życzenia jak: prawosć charakteru, czułość, kultura bycia, wykształcenie, inteligencja, określone zamiłowania. Pan powinien być wysoki, przystojny, na pewno nie łysy, pani nie może być ruda, najlepiej jak bez okularów. W ofertach zagranicznych najczęściej stawianym warunkiem jest bezdzietność. Podawanie kilku języków, w których można prowadzić korespondencję — co jest charakterystyczne dla ofert zagranicznych — raczej jej nie ułatwia. Sporo mężczyzn poszukuje możliwości ożenienia się za granicą, mimo że nie znają języków i nie mają takich dóbr materialnych, aby w tamtych warunkach utrzymać rodzinę. Cóż, ich wybór. Panie też ofertami zagranicznymi są zainteresowane, zresztą wiele listownych znajomości kończy się małżeństwem. Bo Polki słyną w świecie z urody, gospodarności i są dobrymi matkami. Coraz częściej przychodzi oferty towarzyskie. Ludzie poszukują partnerów do wspólnego spędzenia wakacji, czasu wolnego, wymiany mieszkań w atrakcyjnych miejscowościach podczas wakacji. Niemalże ofert przysyłają inwalidzi szukający przyjaciół wśród podobnych sobie.

Oczywiście korzystanie z usług biura wymaga wniesienia jednorazowej opłaty członkowskiej. Warto podkreślić, że opłata jest jednorazowa. Członkostwo — bezterminowe. Poszukiwanie partnera najczęściej trwa około roku, nie zdarzyło się jeszcze, aby skojarzyła się para w ciągu trzech, czterech miesięcy. Kto wie, ile w tym „zasługi” naszej niesprawnej psychologii...

— Przychodzi taki radosny list, w którym nr X informuje nas, że znalazł szczęście z nr Y. Proszą zatem o skreślenie ich ofert w biuletynie — opowiada mi pani Halina. — Często na tym nie kończy się kontakt, skojarzona para pisze nadal — o dzieciach, wakacjach, pracy. Przysyłają życzenia świąteczne. Moglibyśmy stworzyć kolekcję zaproszeń ślubnych, tak wiele ich mamy w domu.

— Przez nasze ręce przechodzą tysiące listów. Mamy więc prawo dokonywać pewnych uogólnień — opowiada p. Zdzisław. — Obiegowe przekonanie o tym, że ludzie przywiązują szczególną uwagę do warunków materialnych — mija się z prawdą. Owszem, często warunkiem zawarcia i kontynuowania znajomości jest mieszkanie, przecież i w ofertach odbijają się nasze narodowe bolączki. Natomiast korespondenci skarżą się na coraz mniejsze możliwości naturalnego zawierania znajomości. Zanika życie towarzyskie i ich osobiste kontakty są coraz bardziej ograniczone.

Tak obalamy parę mitów. Ot, choćby ten jakoby najczęściej kobiety korzystały z pomocy biura w poszukiwaniu towarzysza życia. Bo stosunek płci wynosi tylko jeden do półtora. A więc nie tylko panie mają coraz mniej szans na zawieranie znajomości? Jakże zatem są te nieograniczone możliwości, całkowita swoboda — które przekonanie społeczne przyznaje mężczyznom? A może zachodzi swego rodzaju dyfuzja tych możliwości, niezależnie od płci?

Rozważane tu problemy to typowe socjologizowanie i w kategoriach pojęć socjologii należałoby je wyjaśniać. Osłabiają się przecież więzy osobiste. „Winę” pono-

si tu tak bardzo upragniony postęp, cywilizacja naukowo-techniczna — w tym urbanizacja i idące w ślad za tym przyspieszenie tempa życia. To ono sprawia, że przeciętny mieszkaniec miasta dziś w ciągu tygodnia nawiązuje kontakty z większą liczbą ludzi niż mieszkaniec wsi przed 100 laty przez rok, a nawet całe życie. Ale w większości są one powierzchowne, chwilowe, typowo rzeczowe, bez osobistego, emocjonalnego zaangażowania.

Nasz wiek stworzył człowieka modularnego — alarmują socjologowie — wymiennego, bo w znakomitej większości nasze stosunki są krótkotrwałe, nawiązywane dla chwilowych korzyści. Dopóki nie angażujemy się w osobiste kłopoty np. sprzedawcy, to może być on całkowicie wymienny z każdym innym uprawiającym ten zawód. Z drugiej strony próba zaangażowania osobistego w problemy każdego spotykanego człowieka mogłaby doprowadzić do pustki emocjonalnej. Tylko zminimalizowanie kontaktów pozwala na wybranie niewielu przyjaciół, które chciałoby się utrzymywać i utrwalać.

Rozluźniają się bądź zanikają więzy w rodzinach wielopokoleniowych, w wieku atomu rodzina to krąg najbliższych osób. Jednocześnie w miarę rosnących obowiązków — ograniczających czas — gubimy zawarte niegdyś znajomości. I w którymś momencie zaczyna otaczać nas pustka, która potęguje nasze niepokoje, frustracje, wytwarza takie zahamowania emocjonalne, że trudno je przezwyciężyć.

— Bardziej pasuje ten opis do wysoko uprzemysłowionych społeczeństw, tam rozwój cywilizacji rzutuje na psychiczną sferę życia jednostki. Ostrzegają przed alienacją, anonimowością w tłumie socjologów. Ale nie ulega wątpliwości, że nasza rzeczywistość zaczyna tamtą w jakiś sposób przypominać — wtrąca pan Zdzisław.

— Należałoby rozważyć, czego ludzie szukają w biurach, — czy zawsze chodzi im tylko o małżeństwo? — przerywa nam pani Halina. — Liczne ogłoszenia towarzyskie świadczą, że nie tylko. Nie można wykluczyć, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety szukają łatwej rozrywki, a dostarcza im tyle adresów, że jest w czym przebierać. Inni, po zawodzie miłosnym, chcą pokazać otoczeniu, z jaką łatwością znaleźli sobie kogoś innego. A wiadomo, że w pewnym wieku już nie tak łatwo z dnia na dzień zmienić partnera. Tutaj przydaje się nasze pośrednictwo. Panie, przez dobre małżeństwo, chcą poprawić swoją sytuację materialną — to jest ludzkie. Takich oczekiwań jest wiele, choć ja twierdzę, że większa część naszych klientów to ludzie autentycznie spragnieni ciepła rodziny, domu, dzieci.

Skoro tak trudno nawiązać nowe znajomości, to jak i gdzie poznawać ludzi? A jednocześnie przecież nie żyjemy na pustyni. Pracujemy, wyjeżdżamy na wczasy, konferencje, delegacje. A mimo to narzekamy na brak znajomości i możliwości ich zawierania.

— Może odpowiedzią będzie list naszej klientki, która zwraca uwagę na to, że poznawaną osobę musi „protegować” jakaś nazwijmy to instytucja. Wiedzy zaufanie, jakim darzymy protegującego — przenosimy na jej protegowanego. Nie jest to już osoba anonimowa. Nasza klientka taką rolę przypisuje biurom matrymonialnym, współczesnym swatkom. Wypełniają one lukę, jaka wytworzyła się między przemijającymi formami życia a społecznymi ograniczeniami kontaktów. Do pokonania została cała sfera ograniczeń tkwiących w świadomości: zażenowania, a nawet wstydu, oporów czy barier, jakie stwarza fakt, że poznajemy nowe osoby za pośrednictwem swego rodzaju urzędu.

★

Spółczeństwa zachodnie nie mają już takich oporów. Przykład? Ot choćby we Francji, nieco wyidealizowanym sposobem zawierania znajomości, jest korzystanie z systemu komputerowego Minitel — o czym niedawno pisało „Forum”. — Jakiś czas temu byłam przynębiona i dokuczała mi samotność. Minitel przywrócił mi wiarę we własne siły. Przedtem brakowało mi mężczyzny, teraz mam ich za dużo — wyznaje Cristine — tłumaczka literatury. — Na co dzień spotyka się wciąż te same osoby i niewiele jest okazji do zawierania nowych znajomości — mówi Elizabet, dziennikarka z Marie Claire. — A za pośrednictwem Minitelu odbyłam podróż w tajemną krainę komputerowej samotności. W ciągu paru godzin podrywało mnie pięćdziesięciu nieznanymi facetami. Minitel pomnaża stokrotnie, tysiącokrotnie szanse kontaktów miłości i przygód. Ogromne powodzenie elektronicznego substytutu rubryki ogłoszeń czyli właściwie biura matrymonialno-towarzyskiego uświadomiło, że we Francji też jest wielu ludzi samotnych.

A wracając do nas — może już niektórzy przekonali się, że warto zaryzykować?

LIDIA JASTRZEBSKA



AUTORYTET NIE RODZI SIĘ SAM

Wiele optymistyczna, podnosząca na duchu jest wymowa redakcyjnej dyskusji o budowaniu nauczycielskiego autorytetu („Głos” nr 46 z 1986 r.). W ogóle ta publikacja „Głosu” ma charakter wyjątkowy, trafia w potrzebę czasu, nielatego dla naszej edukacji. Mocno przecież wkłada się ostatnio do placówek oświatowo-wychowawczych rezygnacja, formalno-urzędniczy stosunek do obowiązków pedagogicznych. W wielu środowiskach odczuwany jest brak wiary w sens racjonalnych, wysiłków zmierzających do podnoszenia poziomu osiągnięć wychowawczych, dydaktycznych.

Występują próby fetyszyzowania środków masowej informacji, ich wpływu na młodzież, przecenia się też wielokrotnie negatywnie oddziaływanie na uczniów otoczenia gospodarczego, społecznego. Do tego dochodzą bardzo trudne nierzad warunki pracy w szkołach.

Nie wymieniałem wszystkich negatywnych edukacyjnych. Faktem jest jednak, iż dość wyraźnie dają się one we znaki i wpływają na przygnębienie nauczycieli. Powodują kształtowanie się postaw niezwykle szkodliwych: że wysilać się nie warto, nie ma w tym żadnego sensu, bo i tak nic z tego.

Wystąpienia uczestników redakcyjnej dyskusji uskrzydlały. Przypominają, iż niekiedy trzeba się zagubić w gąszczu wymagań administracyjnych, profesjonalnych, społecznych. Wystarczy trzymać się odwiecznych, starych, wypróbowanych zasad pracy nauczycielskiej: uczciwości, ustawicznego doskonalenia się, życzliwości w stosunku do uczniów i rodziców, pomocy drugiemu człowiekowi, reagowania na podstawowe problemy poszczególnych środowisk. Do owych uniwersalnych momentów działalności pedagogicznej należy, oczywiście, wprowadzać warsztatowe rozwiązania wynikające z przemian zachodzących we współczesnej rzeczywistości.

I — wspaniała rzecz! Są nauczyciele kochający swój zawód, nie poddający się przygnębieniu. Nawet w bardzo trudnych warunkach osiągają wysokie efekty. Nie narzekają. Mało tego — jeszcze stać ich na wzorowość. Stać ich na dawanie znakomitego przykładu innym kolegom, czasówko pracującym przecież w warunkach idealnych.

Oto koleżanka Zofia Terech pisze ludziom podania. — I jeszcze — podejmuje sama interwencje w urzędach dla przyspieszenia biegu spraw, w interesie — zapewne bardzo istotnym — kogoś z rodziców, sąsiadów, współobywateli. Jakże wspaniale jest tu realizowana zasada: być blisko dziecka, rodzica, człowieka. Bo tak to wygląda: życzliwość albo jest, albo jej nie ma. A przy takim oddaniu się ludziom — czy może dziwić fakt zdobywania wysokiego autorytetu?

Zachowanie tego typu ładnie spuentowała red. Maria Rybarczyk: „... wrażliwość, oddech serca, chęć dawania z siebie czegoś innym”. Czy znajdzie ktoś skuteczniejszą receptę na zjednanie sobie przychylności otoczenia? Ale i rodzi się pytanie: czy mamy nadmiar tego rodzaju postaw — w ogóle i w szkolnictwie?

Życzliwość to rzecz subtelna, delikatna, trudno się jej spodziewać po uniwersyteckich zaszczytach tylko. Ale warto i należy zastanawiać się nad tym, jak w procesie kształcenia na wyższej uczelni (wcześniej też) powodować wyzwalanie się

też życzliwości, najszerzej pojmowanej. W pracy nauczycielskiej to podstawa właściwego wypełniania powinności edukacyjnych. Stosunkowo proste jest kształcenie pedagogów, ale ich wychowywanie stanowi problem ogromny.

Bez szlachetnych nauczycieli nie będzie właściwej opieki nad dziećmi oczekującymi specjalnej troski, w jakiś sposób nie łaskawie potraktowanymi przez los. Owszem, są nauczyciele serdecznie poświęcający się tym uczniom, niemile nie raz widzianym przez rówieśników, otocznie. Chwała im za to! O ileż łatwiej jest zaimponować się dzieciom zdolnymi, zadbnymi, które niejako same z siebie już łacniej pokonują wszelkie klapy.

Czego jak czego, ale możemy uczniom oszczędzić jednej przykrej rzeczy: nieprzejmowego wspomniania szkoły. Niestety, codzienność przedstawia się raczej nieciekawie. Przypomnijmy sobie sami, jak to niegdyś było. A lepiej jeszcze spróbujmy zerknąć okiem kilkunastolatka na warunki, jakie my tworzymy młodzieży w naszych placówkach. Okazuje się jednak, że można oszczędzić dzieciom stresów, przykrych przeżyć. A w dodatku — cieszyć się szacunkiem rodziców, środowiska.

Na pewno nie jest to kwestia tylko formalnych kwalifikacji. To sprawa dobrej woli wychowawcy, tego, czy on podopiecznych kocha. Decyduje to, co znajduje się głęboko w duszy nauczyciela.

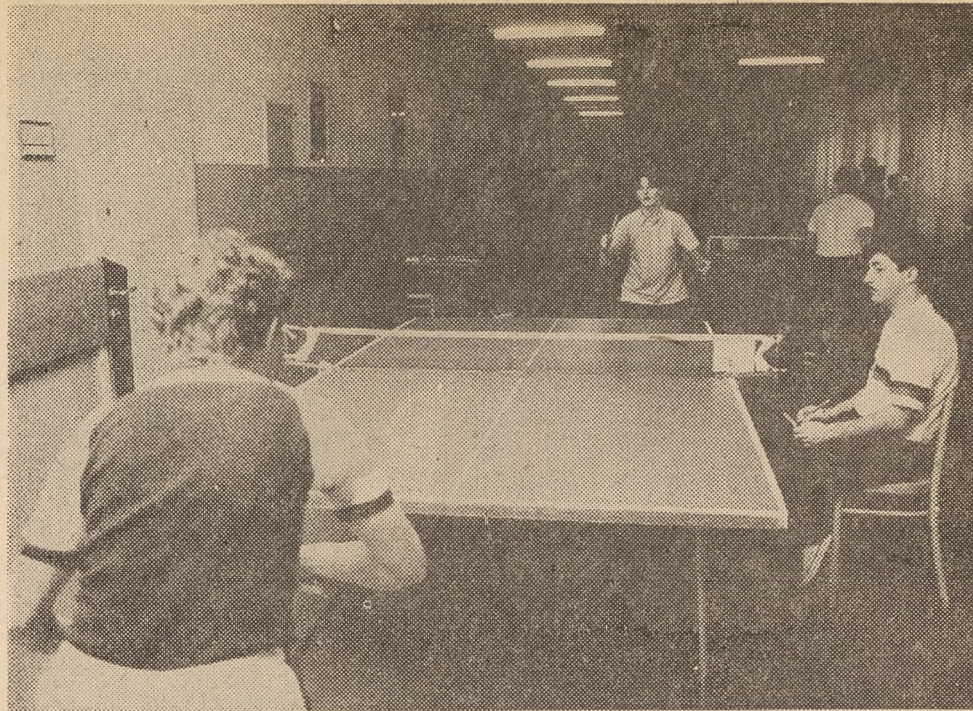
W dyskusji podniesiono bardzo ważny temat — doceniania dobrej pracy nauczycielskiej, „kupowania przez dyrektora” pomysłów. Jest oczywiście, że o kształcie stosunków w placówce oświatowo-wychowawczej decyduje głównie dyrektor. On musi przejawiać „pozytywną” inicjatywę albo taką inicjatywę popierać, wprowadzać do praktyki oświatowej.

Cieszy fakt, iż są dyrektorzy doceniający nauczycielską inwencję, solidność. Wydaje się, iż niezbędne jest również wprowadzenie takich instrumentów placowych, które preferowałyby nauczycieli twórczych, z pasją traktujących swoje powinności. Nie sądzę, by rozwiązanie takie za niesprawiedliwe uważali pedagogodzy autentycznie praołowici, ciągle podejmujący wysiłki dla doskonalenia warsztatu, otwarci na wszelką myśl mogącą przynosić lepsze efekty. Jak długo przed tym będziemy się bronić, tak długo brakować będzie w środowisku nauczycielskim przekonania, że wysilać się warto, że pomagać młodzieży, rodzicom, środowisku trzeba. Praktyka społeczna wykazuje, że nie zawsze ludziom wystarcza do szczęścia idea i satysfakcje moralne. Za cenne uważam wyeksponowanie tego problemu w redakcyjnej dyskusji.

Prawdopodobnie opłacałoby się zastanowić nad zgłoszonymi przez uczestników tego ważnego forum pomysłami konkursowymi. Nie wiem, czy spostrzeżenia w nich zawarte akurat należałoby wykorzystać w konkursie, jestem jednak pewien, iż byłoby źle, gdyby pozostały zupełnie bez echa.

Nauczycielskie diamenty zaprezentowały skarby myśli edukacyjnej. Dobrze, że redakcja zaprasza do dalszej refleksji w tym kierunku.

STANISŁAW ŚWINIARSKI
Brody Żarskie



POSPOLITE RUSZENIE W ODDZIALE

FAJNIE BYŁO!

TEKST I FOTO:
MAREK SUCHECKI



Na Górnęj w Łodzi bawiono się świetnie. Były dwie konkurencje sportowe: tenis stołowy i pływanie oraz dziesięć rozmaitych gier sprawnościowych, w których walczyły reprezentacje 9 szkół. Walcząc o miano najlepszej zdobywały puchary i nagrody pieniężne — po 50, 30 i 20 tys. — dla swoich placówek. Jednocześnie wszyscy uczestnicy odebrali nagrody indywidualne.

Dużą pomysłowość wykazali organizatorzy, przygotowując konkursy sprawnościowe. Niektóre były tak pomyślane, aby mogły w nich występować rodzice z dziećmi. Foto otwierający turniej „Konkurs Rodzinny”. Najpierw przez tor przeszkód i zadań sportowych biegł tata, by na półmetku posilić się mlekiem, ale za... niemowlęcej butelki. Inaczej nie wolno. Czas biegnie. Powrót taką samą trasą i już w szafecie rusza mama. Na półmetku czeka na nią smakowity paczek. Trzeba go zjeść, ale nie wolno używać żadnych narzędzi, także rąk. Konkurencja trwa dalej. Najmłodszy przedstawiciel rodu ma zadanie pozornie proste: zjedzenie kisielu. Jest nawet łyżeczka, tylko jakby za mała... stopery są cierpliwie. Niektóre dzieci przekonały się, że zbyt łapczywe jedzenie nie idzie na zdrowie.

Rzuty jajkiem, robótka ręczna na czas, łamigłówki techniczne, rzuty piłką do kosza, przejazd na wrotkach z rozbiegu, oboje niekiedy tylko z dalszych konkurencji. Większość z nich odbywała się przy oglądającym doping publiczności, w różny sposób manifestującej przynależność lub sympatyzowanie z daną placówką.

Były także występy w wykonaniu uczniów IX liceum. Zespół instrumentalny grał pod kierunkiem Antoniego Chelmińskiego.

Zajmijmy do kuluarów imprezy. Emeryci przygotowali i przeprowadzili losy loterii fantowej 100 zł. Cel szczytny: dochód przeznaczony na wsparcie kasy NCPS. Działalność bufet z gorącą kawą, do kiosku „Ruchu” sprowadzono atrakcyjne towary (skarpetki frotte, wody kolońskie, książki kucharskie), a przez cały czas trwania imprezy można było poczęstować się paczkami i jabłkami, rozmoszonymi przez uczniów.



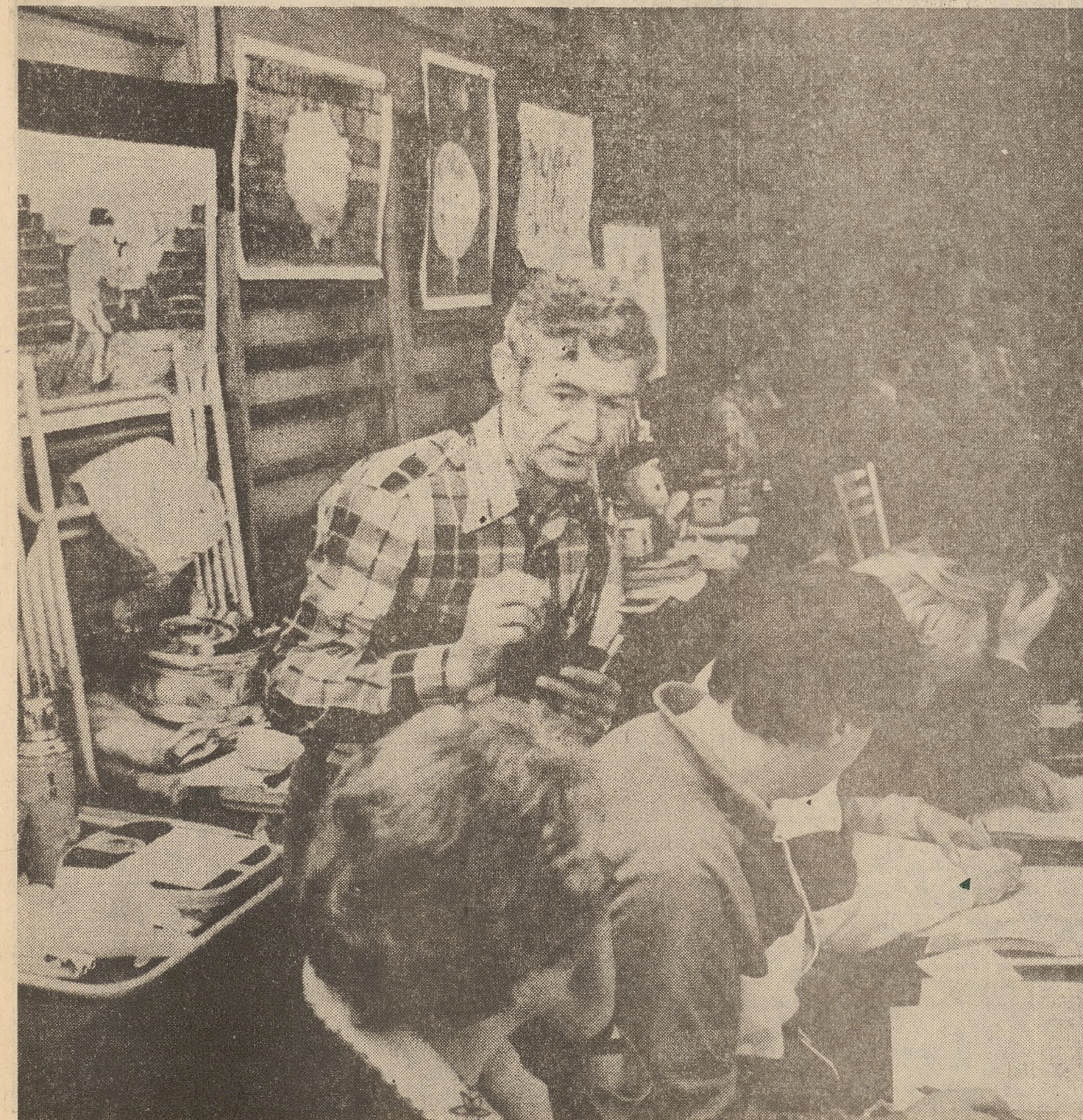
W sumie: fajnie było!

Na zakończenie dodajmy, że sam pomysł przeprowadzenia drugiego już turnieju sportowo-rekreacyjnego pracowników oświaty (odbył się w drugiej połowie listopada) tak się podobał, że nie trzeba było specjalnie szukać chętnych do Komitetu Organizacyjnego. Obok prezesa Oddziału Łódź-Górna — Krzysztofa Baszczyńskiego, brał w nim udział inspektor OIW — Zygmunt Fiderik. Do działania przystąpił ponadto jak jeden mąż: instruktor KD PZPR — Janina Surmańska, wiceprezes ZO ZNP — Jadwiga Nastarowicz, zastępca inspektora oświaty — Krzysztof Dąbrowski, który pełnił funkcję głównego sędziego. Sławomir Hendzik — przewodniczący Komisji Sportu i Turystyki ZO ZNP całocią sprawnie dyrygował, zaś gospodarzem była Maria Rudnicka — dyrektor Szkoły Podstawowej nr 190. Niemale obowiązki mieli też dyrektorzy szkół, któ-

rych reprezentacje uczestniczyły w zawodach.

Prezes Oddziału Łódź-Górna wciągnął także w sprawę doborowe grono sponsorów i entuzjastów. Dość powiedzieć, że nie pozostał obojętny ani sekretarz Komitetu Dzielnicowego partii — Andrzej Grudziński, ani przewodniczący Dzielnicowej Rady Narodowej — Witold Sidewicz, ani też naczelnik dzielnicy — Józef Rudnicki. Za interesowanie turniejem wykazali przewodniczącą Komisji Oświaty DRN — Bronisława Rogozińska, kurator Bogdan Cegielski i dyrektor OUPIS — Janusz Leszczyński, nie mówiąc już o prezesie Zarządu Okręgu ZNP — Ryszardzie Sobolczyku. Listę Komitetu Honorowego zamykają: przewodnicząca Sekcji Emerytów — Anna Wyka i przewodnicząca Dzielnicowego Komitetu NCPS — Halina Zychlińska.

Tekst i foto
MAREK SUCHECKI



MOGĄ INNI MOŻEMY I MY!

W każdym ognisku, grupie i oddziale ZNP można zorganizować imprezę turystyczno-sportową, interesujące spotkanie, zabawę lub dyskotekę, wieczór poezji przy herbach, turniej czy atrakcyjną wycieczkę albo kulig po zasypanym śniegiem lesie. Trzeba tylko skrzyknąć chętnych.

IMPREZA NA „102”

W Łodzi, na Górnęj, związkowcy chętnych skrzyknęli i zorganizowali imprezę na „102”. Po co zresztą słowa, wystarczy popatrzeć na zdjęcia. Bawiono się świetnie, z humorem i fantazją. Najlepszym przyznano nagrody.

Gratulujemy udanej imprezy! Równocześnie zachęcamy do naśladowania. Szczególnie prezesów ognisk i oddziałów ZNP. Czy i u Was nie można zorganizować imprezy, o której będzie się długo mówić?

Wiadomo — Związek ogniskami stoi. Jaka będzie praca w ogniskach i oddziałach, taka będzie opinia o całej naszej organizacji.

Czekamy na zaproszenia! Przyjedźmy na ciekawą imprezę organizowaną przez ognisko lub oddział ZNP.

Przyjedźmy z pucharem „Głosu Nauczycielskiego” który przyznamy — wraz z dyplomem uznania — organizatorom!

Czekamy więc na zaproszenia!

DO KRAŃCÓW WSZECHŚWIATA

CD ZE STR. 1

niję pewnego poziomu. Kiedyś Jansky wyjście swego odbiornika połączył ze zwykłym głośnikiem. Dobywał się z niego ciągły, szyczący dźwięk, zupełnie różny od trzasków powodowanych przez pioruny. Jansky zaobserwował, że najgłośniejszy sygnał odbierany był zawsze wtedy, gdy antena wskazywała jeden, określony kierunek przestrzeni, stały względem gwiazd. Okazało się, że kierunkiem tym było centrum naszej Galaktyki, gdzie występuje największa koncentracja gwiazd. Karl Jansky, 26-letni technik niechętny usłyszał radiowe sygnały wysyłane z Mlecznej Drogi.

Po okresie ogromnego zainteresowania odkryciem poszło ono niestety w zapomnienie. I być może minęłyby długie lata gdyby nie... pasja radioamatora. Grote Reber, bo o niego tu chodzi, znudzony zabawą w łączność krótkofalową, odkrycie Jansky'ego potraktował jak wyzwanie. Przez długi czas oszczędzał tylko po to, by własnym sumptem zbudować pierwszy w świecie radioteleskop. Miał on 9 m średnicy i stał... w ogródku. Na takim to instrumencie Reber dokonał wielu pomiarów radiowych fal kosmicznych. Dość powiedzieć, że ten pierwszy amator — radioastronom wykonał mapy nieba takie, które przez następne 15 lat były wprost w szczegółach niedoścignione.

Podtoruńskie radioobserwatorium wyodrębniło się z uniwersyteckiego obserwatorium astronomicznego. Z inicjatywą jego założenia wystąpiła prof. Iwanowska, długoletni szef „optyków”. Można by powiedzieć, że ona pierwsza poszła „z duchem” przemian w nowoczesnej astronomii. Radioobserwatorium rodziło się jednak, z różnych powodów, prawie 10 lat. Najpierw, w początkach poprzedniej dekady, stanęły pawilony, pierwsze interferometry, wreszcie w roku 1977 pojawiła się w Piwnicach 15-metrowej średnicy antena radioteleskopu. Była ona wzorowana na podobnym urządzeniu holenderskim, ale w zasadzie powstała całkowicie w kraju. O tym, że jest naprawdę dobra świadczyć może fakt, iż zainteresowanie zakupem drugiej takiej anteny wyraził Francuzi.

W porównaniu z innymi radioteleskopami nasz jest raczej mały. Największy, w pełni ruchomy pracuje pod Bonn, średnica jego anteny wynosi 100 m. Ale największy radioteleskop znajduje się w Arecibo (Puerto Rico). Jest co prawda nieruchomy (wepchnięto go w niekę terenu), ale za to ma 305 m średnicy. Istny kolos! To jednak nie jedne różnice. W radioobserwatorium bońskim pracuje 200 osób, w Jodrell Bank pod Manchesterem 120, w Królewskim Obserwatorium Holenderskim 104, w bolońskim 42. W Piwnicach zatrudnionych jest 19 ludzi. W tym także pracownicy techniczni.

Profesor Gorgolewski zwraca mi uwagę, że choć wielkość radioteleskopu jest sprawą istotną, to jednak nie tylko to się liczy. W świecie radioastronomii ważne są i inne czynniki. Na dowód otrzymuję do przejrzenia teczkę z listami z całego świata. W tym od profesora Martina Ryle'a, laureata Nagrody Nobla, największego radioastronoma naszych czasów. Jest w nich o wyśilkę, cierpliwości, pomysłowości, jest o zmaganiu z przeciwnościami, jakie radioastronom spotyka na swej drodze. Są podziękowania za dobrą współpracę i nadzieje na zacieśnienie kontaktów w przyszłych latach.

A wszystko to efekt udziału toruńskiej grupy w jednym tylko międzynarodowym eksperymencie — w kwietniu 1984 r., w którym wzięło udział 18 obserwatoriów z 8 krajów. W grudniu 1983 roku przebywającemu w USA dr. Andrzejowi Kusowi zaproponowano, by do tego największego światowego wydarzenia przyłączyły się Piwnice. Problem w tym, że aby było to możliwe należało przedtem zbudować nowy radiometr do odbioru fali 18 cm. W Bonn podobne urządzenie konstruowano prawie rok. W Piwnicach „spieł” i całą robotę wykonali w 3 miesiące. I tak w obserwacji czterech radioźródeł odległych od Ziemi o miliardy lat świetlnych brało udział nasze obserwatorium. A uzyskano tyle informacji, że ich tylko wstępna obróbka trwała ponad trzy miesiące.

★

Właściwie co tam słyszeć? Czy słyszeć to znaczy widzieć? Prawdę mówiąc ani się nie słucha ani się nie widzi. Antena odbiera słaby sygnał, który jest potem odpowiednio filtrowany, wzmacniany, wreszcie przetwarzany na ciąg liczb. Te dopiero

odpowiednio pojemny komputer przekształca w obraz. W pewnym sensie w teleskopie optycznym „widać ładniej”. Z drugiej strony jednak tam, gdzie teleskop dostrzeże jeden punkt, radioteleskop rozróżni nawet do 10 mln punktów! Radioastronom „widzi” jednak nie tylko więcej, ale i dalej. „Widzi” również rzeczy, które nie są widoczne dla „optyków”. Dzięki radioteleskopom odkryto magnetosferę Jowisza, i to na wiele lat przed dotarciem do tej planety ziemskich sond kosmicznych. Radioastronomowie wykryli też promieniowanie krańcowe wszechświata. Zasluga tej dziedziny wiedzy jest zidentyfikowanie radioźródeł najdalszych — kwazarów. Te najbardziej odległe a „usłyszane” przez radioteleskopy leżą tak daleko, że... w ogóle nie podaje się ich odległości od Ziemi. Dzięki radioastronomii udało się po raz pierwszy zaglądnąć pod atmosferę Wenus. Wreszcie, to radioteleskopowe obserwacje pozwoliły na odkrycie, że... kontynent amerykański odsuwa się od europejskiego o 2 cm rocznie.

Badania nad wykorzystaniem drugiego, radiowego okna na wszechświat, na dobre zaczęły się dopiero po II wojnie światowej. Początkująca radioastronomia w latach czterdziestych nieoczekiwanie uzyskała poparcie ze strony wojska. Stało się to za sprawą upowszechnienia radaru. A potem okazało się, że wtedy, gdy pada, gdy chmurzy przesłania niebo wystarczy po prostu uruchomić odpowiednią antenę i odbiornik.

Jednakże pojawiły się pierwsze bariery: wielkości radioteleskopów, możliwości obróbki napływających z kosmosu informacji. Gdy za pomocą teleskopu optycznego już w ciągu kilku godzin można było wykonać zdjęcie dość dużego regionu nieba,

to przeszukiwanie go radioteleskopem zajmowało co najmniej parę tygodni. Rozpoczął się wyścig. O coraz większe anteny, coraz czulsze urządzenia odbiorcze. No i maszyny cyfrowe — potrafiące przetworzyć ogrom informacji. Kolejny skok przeżywa zatem radioastronomia wraz z pojawieniem się, a potem zwiększeniem mocy komputera. Zapytany w 1980 roku noblista Martin Ryle — dlaczego swych pomysłów nie urzeczywistnił wcześniej, odparł: bo w końcu lat pięćdziesiątych nie istniał komputer, który dałby sobie radę z przetworzeniem niezbędnej ilości danych.

★

Specjalnością radioastronomów z Piwnic są badania pozagalaktycznych źródeł radiopromieniowania, w tym kwazarów. Szczegółowo obserwowane są dwa, położone prawie na krańcach wszechświata. Ich dziedziną jest także od lat intergeometria radiowa. Jako jedyni wśród krajów socjalistycznych (prócz ZSRR) biorą udział w pracach wspomnianych sieci VLBI. Wzięli udział już w trzech eksperymentach, w tym największym z roku 1984 w ramach obserwacji naszej Drogi Mlecznej „słuchając” grot neutronowych, badając materię międzygwiazdową. To wystarcza na lata pracy. Ludzi i maszyn matematycznych.

Fizyka, matematyka, elektronika — o nich wciąż słyszę w Piwnicach, a gdzie miejsce na romantyzm? Prof. Stanisław Gorgolewski odpowiada mi przykładem: jeśli radioteleskop zarejestruje 200 różnych pomiarów na sekundę, a pracuje na przykład pół doby, to otrzymamy 20 mln informacji z jednej tylko obserwacji. Jest to więc robota dla matematyka. Jedna dwu-

nastogodzinna obserwacja — dodaje profesor — dostarcza materiału do pracy na więcej niż pół roku. Jeszcze do niedawna trwała ona zresztą dłużej: obserwatorium miało tylko jeden komputer. Dziś na szczęście ma dwa. Ten drugi, mniejszy, jest o ironio największy w UMK. Wkrótce dzięki niemu będzie można oglądać kolorowe obrazy radioźródeł. Dr Andrzej Kus przywiozł z obserwatorium w Jodrell Bank program do generacji obrazów z obserwacji w VLBI (czyli w sieci tak zwanej bardzo długiej bazy intergeometrii, z którą stowarzyszone jest obserwatorium w Piwnicach, a która organizowała wspomniany już eksperyment w roku 1984). Co prawda prawie rok musiał pracować dr Andrzej Marecki, by jak tu się mówi „udeptać” obszerny program w mniej pojemnym komputerze, ale za to będzie można w kolorach obejrzeć to, co się tylko „usłyszało”.

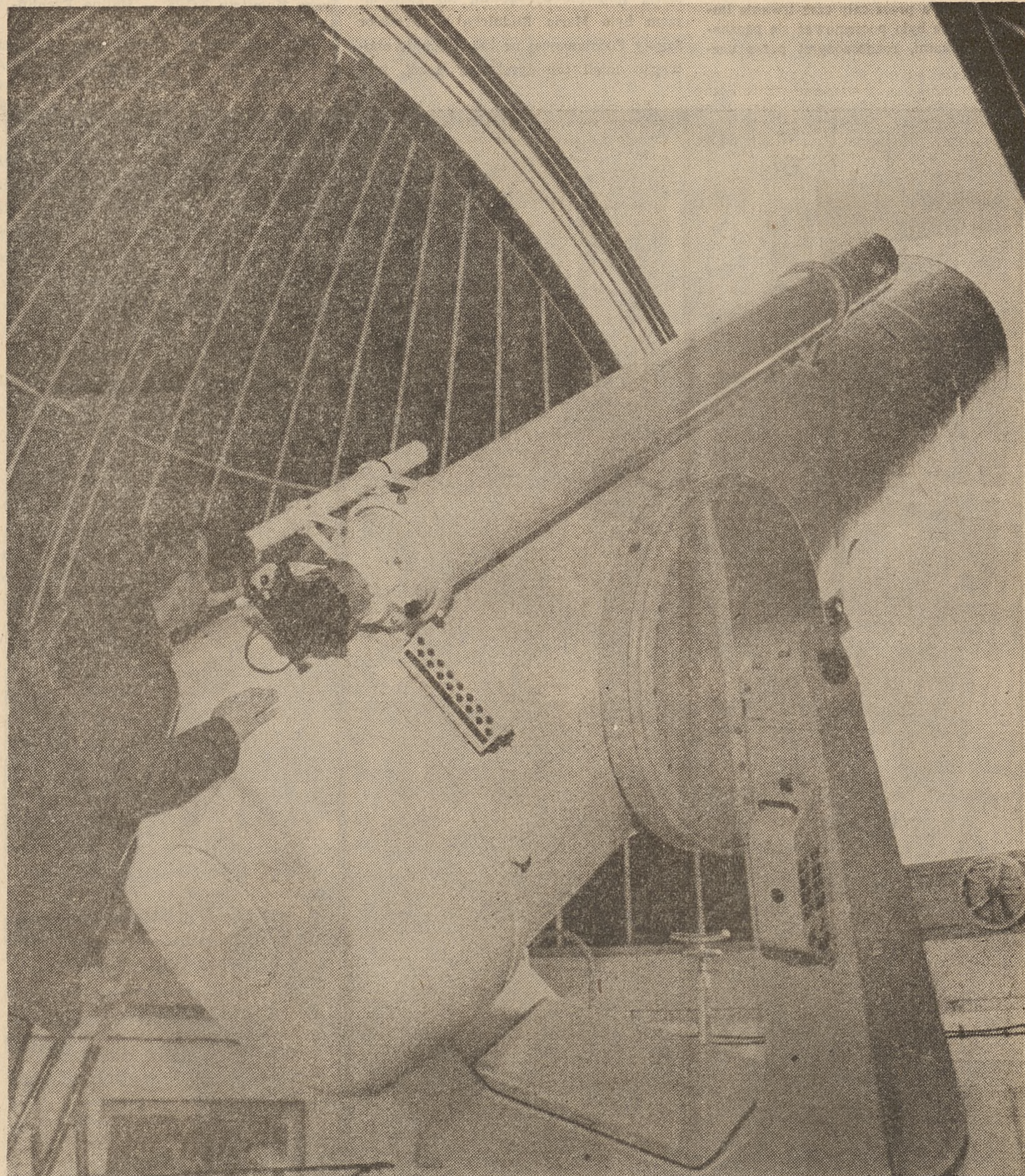
Przed obserwatorium radioastronomicznym w Piwnicach jest jeszcze jedno wielkie wydarzenie. Będzie budowany drugi radioteleskop o średnicy 32 metrów. Według badających dokumentację specjalistów zachodnich jego antena będzie, w swej klasie, najlepsza na świecie. Oznacza to, że kosmos będzie można obserwować 20 razy szybciej niż dziś, a to już coś: jakby nie było mocna pozycja w światowej radioastronomii.

★

Nie słyszałem odbieranego pod Toruniem „szumu kosmosu”. Jednak w gwiazdzista noc wychodząc z pawilonu obserwatorium nie mogłem oprzeć się myśli, czy i tam jest może „ktoś”, kto słucha nas? Co prawda zapoczątkowany w kwietniu 1960 roku i trwający kilka miesięcy projekt OZMA, mający na celu odebranie 26-metrowym radioteleskopem sygnałów cywilizacji pozaziemskiej, nie dał żadnych efektów, niemniej...

Jeśli w naszej Galaktyce jest 180 mld gwiazd typu naszego Słońca, jeśli przy co setnej jest planeta w odległości podobnej do ziemskiej, jeśli na jednej ze stu mogło rozwijać się życie, a jeszcze na co setnej inteligencja typu homo sapiens, to otrzymamy liczbę 18 tys. planet ewentualnie zamieszkanych. Tylko w naszej Galaktyce. A galaktyk są przecież miliony... Więc może poszukiwania nie są pozbawione sensu? Może zatem kiedyś przez drugie, radiowe okno posłyszemy coś więcej niż tylko naturalny szum wszechświata?

WOJCIECH SIERAKOWSKI
Fot. CAF



Z KONKURSU: PIERWSZE KROKI W SAMODZIELNOŚĆ

I TAK ZACZĄŁ SIĘ MÓJ ROMANS...

Moja droga do szkoły nie była prosta. Nigdy nie chciałam być nauczycielką. Bardziej podobał mi się zawód lekarza, ale ponieważ dziadek właśnie nim był, szczerze mi odradzano: „po co masz się skazywać na nie przespane noce, nerwy?”...

W szkole średniej polonistka wzmówiła mi, że mam prawdziwy talent w kierunku nauk humanistycznych i zaproponowała olimpiadę, na której wcale nie błysnęłam, ale za to miałam okazję zobaczyć i usłyszeć człowieka-mit zwłaszcza dla polonistów, prof. Kazimierza Wykę.

Potem wszystko potoczyło się samo, bez mojego świadomego udziału. Na UJ w Krakowie się nie dostałam. Rozpacz, żal do świata, urażone ambicje rodziców i moja własna, wstyd i kolejna próba — w WSP w Krakowie. Poszło dobrze.

Studia były raczej towarzyskie, radosne, wesołe... Zanim zdążyłam się zorientować, było po wszystkim i stanęłam w obliczu faktu, że należy podjąć pracę. Już w trakcie studiów zdecydowałam, że pójdę do szkoły, w końcu w tym kierunku się kształciłam. A poza tym uważam, że jest to praca, która mobilizuje.

Trafiłam do małego miasteczka — do Zespołu Szkół Zawodowych. Odbiłam rozmowę z dyrektorem, otrzymałam przydział klas. I tak zaczął się „romans”, który trwa do dziś. Pracuję pięć lat, wiele w moim myśleniu się zmieniło, ale miłość do szkoły pozostała, a nawet jest coraz silniejsza.

Pierwsze kroki nie były łatwe i nawet we wspomnieniach odczuwam ten paniczny lęk, jaki towarzyszył mojemu pierwszemu wejściu do klasy. Zwłaszcza, że była to już druga klasa technikum. Pozostałe, jakie mi przydzielono, to klasy pierwsze i co najmniej tak samo przestraszone jak ja.

Pamiętam do dziś drżenie rąk i głosu podczas czytania listy. Przyjęli mnie nieufnie. Nie lubili polskiego po pierwszej klasie, nie umieli jasno mówić tego co myśla.

To nieprawda, że młodych nauczycieli się oszczędza. W pierwszym roku otrzymałam dodatkowo wychowawstwo w zawodowce (34 ślusarzy-spawaczy) i harcersko. Zupełnie nie mogłam się polapać. Dziennik — czarna magia, praca wycho-

wawcy — koszmarnie, lekcje — obłąd. Żyłam na takich obrotach, że w ciągu 6 miesięcy schudłam 6 kg. co zresztą mnie ucieszyło.

Powoli wszystko dojrzało. Z klasą, której byłam wychowawczynią, dogadałam się dość szybko — z pozostałymi też. Ale ta druga klasa... Nie chcieli mi uwierzyć, że „Dziady” można zrozumieć, nawet jeśli się ich nie lubi, nie chcieli ze mną rozmawiać i lekcje często były monologiem, pełnym egzaltacji i zachwytu nad światem. Niestety, tą pasją nie udało mi się zarazić nikogo. Czytając pierwsze klasówki myślałam, że zwiariuję. Rwałam włosy z głowy, gdy poprawiałam dykanda miałam żal do uczelni, że nie powiedziano mi, co mnie czeka.

Czasami brakowało mi sił. Nie dostarczałam też tego, co się dzieje w pokoju nauczycielskim. Układów, i niestety, głupoty. Posiedzenia rady pedagogicznej były koszmarnie. Zastanawiałam się podczas jednej z nich, kto tu jest właściwie dla kogo: szkoła dla uczniów czy odwrotnie?

Pomyślałam sobie, że musi przecież być jakieś wyjście, że nie mogę stać się tylko urzędnikiem, ale kimś, kto daje z siebie wszystko, co najlepsze.

W pokoju nauczycielskim czułam się nieszczególnie, ale gdy zamykałam drzwi do klasy, gdy stawałam oko w oko z uczniami, wiedziałam po co tu jestem, wszystko s awało się jasne. Oni czuli, wiedzieli, że jestem w szkole dla nich i początkowa nieufność zaczęła przeradzać się w więź, której nikt nie zrozumie, jeżeli tego nie przeżył.

Żał mi tych, którzy nie potrafią zaangażować się w pracę tak dalece, żeby stała się ona dla nich sensem życia. Ja sens znalazłam w szkole. Może to brzmi patetycznie, ale tak jest naprawdę. Kiedy miałam półroczną przerwę w drugim roku pracy — szkoła śniła mi się po nocach. W Dzień Kobiet przyszła do mnie delegacja z mojej klasy, chłopcy ci sami, którzy nie rozróżniali „harców” od „chaszcz”. Po zakończeniu roku szkolnego zastałam na progu bukiet kwiatów z kartką, żebym już wracała, bo beze mnie smutno (z błędami ortograficznymi w kilku wyrazach).

Wróciłam i poczułam, że znowu żyję. Przyjęli mnie tak radośnie. Zaczęła się orka. Dyktanda, klasówki, rady pedagogiczne. Nawet nie wiadomo, kiedy druga klasa

stała się piątą. Teraz dopiero miałam okazję stwierdzić, jakie efekty przyniosły moje starania o to, by język polski był dla nich prawdziwą przyjemnością a nie Gombrowiczowskim „upupianiem”. Droga do zrozumienia wiodła przez wiele buntów z ich strony. Dlaczego taki dobór lektur a nie inny? Przed maturą okazało się, że teraz już wiadomo, o co chodziło z tym Mickiewiczem, Słowackim. Okazało się, że byłam dla nich kimś ważnym, z kim można porozmawiać, podyskutować i dostać ocenę za dojrzałość w myśleniu, a nie za wyklepanie życiorysu. Przyniosły efekty moje starania o to, by pojęli, że wiedza pozwala przede wszystkim lepiej zrozumieć świat, mieć poczucie świadomego uczestnictwa w życiu, że jest to jedna z niewielu wartości istotnych, takich, które człowiek ma tylko dla siebie, których nikt mu nie odbierze. Zdali maturę, odebrali dyplomy i przyszl do mnie na pożegnalne spotkanie, na którym okazało się, że mają swoje poważne sympatie literackie, że jeden kocha Tuwima za piękno języka, a inny Baczyńskiego...

Mam z nimi kontakt do dziś. Czytają dużo, przyjeżdżają do mnie, studiują, a ja jestem im ciągle do czegoś potrzebna. Jeden z chłopców podarował mi książkę z dedykacją zaczynającą się od słów: „Za wskazanie drogi w świat...”. I dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, jak wielka odpowiedzialność ciąży na nauczycielu. Bo „droga w świat” brzmi bardzo odpowiedzialnie. Ostatecznie można wskazać różne drogi. Dla niego ta, którą ujrzał przy mojej pomocy, była najwidoczniej właściwa.

Piszę o tym nie dlatego, żeby się chwalić lub moralnie podbudować. Chciałam tylko zaznaczyć, że jedyną wymierną satysfakcją z pracy w tym zawodzie jest właśnie świadomość, że komuś było się potrzebnym, że swoją rolę odegrało się dobrze. Nie wiem też, czy nauczyciel świeckiej szkoły może mieć satysfakcję z tego, że uczeń, który akurat poszedł do seminarium, przekazuje

mi przez kolegę wiadomość, iż codziennie się za mnie modli. I choć nie jestem wierząca — z ulgą myślę, że to właśnie mój uczeń wziął na siebie trud mojego ewentualnego zbawienia.

Moje kroki w dojrzałość nie były siedmiomilowe. Była to raczej strategia małych kroków, które stawiam do dzisiaj, cały czas kontrolując właściwość swoich posunięć. Człowiek nigdy nie wie, czy robi dobrze. To truizm, ale ileż mniej byłoby pomyłek, gdyby pod tym kątem każdy patrzył na siebie i wciąż, bez przerwy, stawiał sobie pytanie: czy tak powinienem, czy tak jest właściwie?

To nieprawda, że nauczyciele nie mają wpływu na młodzież. Jednak żeby ten wpływ mieć, nie wystarczy być urzędnikiem. Trzeba wiedzieć, co się w szkole robi, trzeba mieć świadomość, że młodzież odczuwa ogólny brak autorytetów, a nawet ich głód. Młodzież, o której mówi się ostatnio tyle złego, nie jest bezideowa. Kocha dysko/teki i szmal, ale można ją nauczyć kochać inne wartości. Tu znajduję miejsce dla siebie i wiem, że jest ono moim właściwym miejscem.

★

Trudno znaleźć mi jakieś stosowne słowo na zakończenie tych osobistych wzmianek, popartych doświadczeniem pięciu lat spędzonych w szkole i nie zmarnowanych, jak sądzę. Prawdę mówiąc — kroki w dojrzałość stawiam dopiero teraz, kiedy zdążyłam już usystematyzować swoje poglądy i określić dokładnie swoją rolę w szkole. Denerwuje mnie ciągle narzekanie, zresztą często uzasadnione. Błędami i załamaniem rąk nikt jednak jeszcze niczego nie dokonał. Zadaniem nauczyciela jest wskazanie uczniom drogi w świat i przekonanie ich do tych wartości, które są miarą człowieczeństwa.

MALGORZATA PIŁUCH
Nowy Sącz



Fot. Marek Suchecki

EX CATHEDRA

ŚREDNI SZU

Na dużej przerwie, pani Józwiakowa wchodzi do pokoju nauczycielskiego i opróżniając kolejną popielniczkę ubolewa: nerwowe to takie, wykształcone i co z tego mają! Na przykład taki pan Henryk, matematyk, liczyć umie, milionerem mógłby zostać.

Według pani Józwiakowej milionerem można zostać u nas szybko, łatwo i przyjemnie. Jesteśmy bowiem krajem wielkich, wręcz nieograniczonych możliwości. Wystarczy tylko do sprawy podejść spokojnie, bez emocji i metodycznie. A więc. Zamiasz czerepa wypchanego intelektualnym bagażem należy zainstalować sobie łeb na karku — bez przesądu w rodzaju: praca zawodowa daje satysfakcję, wykształcenie zobowiązuje itd.

Taki łeb to rzecz wygodna w użyciu, bo mało pojemna, a przynosi same korzyści. Pod warunkiem wszakże, że wyoszczędzimy sobie zmysły, zwłaszcza powonienia, gdyż przy węszeniu interesów przyda on się nam najbardziej.

Następnie wybieramy sobie dziedzinę, w których chcemy zabłysnąć. Możemy więc skoncentrować się tylko na umowie kupna — sprzedaży, bądź organizować sobie wyjazdy turystyczne ad hoc, gdziekolwiek, byle z odpowiednim zestawem na dany kraj. Można także zainstalować sobie przyczepę.

Najłatwiejszą dziedziną, najmniej kapitałochłonną, jest oczywiście kupno — sprzedaż. Tu trzeba tylko opanować do perfekcji marketing. Najpierw sadzujemy na co, aktualnie, rynek jest najbardziej chłonny. Potem ustalamy miejsce, gdzie pożądaný towar jest rzucany. Następnie zawieramy wiorną umowę kupna — sprzedaży. Towar możemy oferować bezpośrednio (bazy) lub pośrednio (ogłoszenia).

Ostatnio w stolicy najpopularniejszą formą z tej dziedziny jest kupowanie towaru przez kolejkę do kolejki. Otóż mniej więcej na kilka godzin przed otwarciem sklepu, na przykład z telewizorami, ustawia się doń kolejka osobników z łbem na karku. Telewizorów będzie w sprzedaży 20, o czym dokładnie wiemy, bo wywyszliśmy, że w tenże czwartek telewizorów będzie właśnie tyle. Za osobnikiem z głową na karku z numerem 20, robimy w kolejce stosowną przerwę. Za przerwą zaraz ustawia się następna kolejka, która jest kolejką do kolejki pierwszej. Kolejka pierwsza nabeździe te 20 czarno-białych telewizorów po 20 tysięcy. Ludzie z kolejki drugiej, czyli z kolejki do kolejki pierwszej, odkupią je po 40 tys. Tak więc facet z głową na karku, napalonemu „czerepowi” na TV Polska, upłynnia prawo zakupu za 20 tys. I jest tzw. „czysty” i szybki interes.

W przypadku tu czarno-białej — te „biedne” 20 tys. zysku to jest mały brzdąk.

Sprawa nabiera rumieńców dopiero przy tu kolorowych. Tu udziałowcy kolejki pierwszej pozbywają się prawa nabycia aparatu w kolorze typu „Jowisz” — cena rynkowa 167 tys. — za 250 tys. zł. I ta różnica, to jest to!

Jest jeszcze co najmniej kilkanaście rzeczy pożądaných przez rynek, za każdą cenę. Nie musimy wystawać więc tylko przed witrynami z telewizorami. W miarę jak coraz pewniej będziemy czuli się ludźmi interesu, znajdziemy bez trudu i rynek, i towar.

Dziedzina druga jest zarezerwowana wyłącznie dla miłujących turystykę. Z giełdy europejskiej dowiadujemy się, gdzie i kto podupada na tyle, że należy go ratować wymianą bilateralną z naszym krajem. Wybieramy się tam starannie przygotowani, z odpowiednim zestawem na dany kraj. Zestaw musi być rzeczywiście głęboko przemyślany. Musimy zadbać o to, aby nasi kontrahenci nie poczuli się zawiedzeni. W tym przypadku opieramy się także na sondażu tamtejszego rynku.

Esapady takie, mające wprawdzie charakter merkantylny, podtrzymują także więź między narodami. Nie wspominając o tym, że podróż kształci!

Dla osób najmniej przedsiębiorczych, wyznających jeszcze różne niepraktyczne zasady, zalecana jest dziedzina trzecia (umiarkowana).

Instalujemy więc przyczepę, byle gdzie. Może być w najmniej oczekiwany miejscu. Klient i tak się znajdzie, bo przecież do najbliższego baru, w centrum miasta, ma dobre 3 kilometry. Serwujemy co się da i coraz mniejsze porcje. W tej dziedzinie trzeba opanować do perfekcji umiejętność dozowania (coraz mniej).

Najpier proponujemy bułeczkę z paróweczką, potem pół bułeczki przekrojonej wzdłuż z paróweczką potraktowaną też wzdłuż. Następnie skracamy bułeczkę o połowę. To samo robimy z paróweczką i w ten sposób dochodzimy do hot-doga rasy mini. Oczywiście, cenę ciągle podwyższamy proporcjonalnie do skracania biednego gorącego — psa!

Podobne zabiegi możemy robić z chrupiącymi bułeczkami pokrytymi pieczarkami. Tutaj możemy dojść do zupełnie rewelacyjnych wyników finansowych — w momencie gdy pieczarkę (słownie; jedną) poszatkujemy na wiórki i kilka tychże, ulotnych i lekkich jak puch, umieścimy na bułeczce.

Przeróżne ewolucje można także wycisnąć z napojami, zwłaszcza w upalne dni. Najpierw wodę spragnionej klienteli podajemy z soczkiem o barwie intensywnej, potem z esencją na koniec proponujemy już tylko kranówkę z barwnikiem.

Powoli, powoli stajemy się, no może nie Wielkim, ale Średnim Szu i milionem wyciągamy łatwo. Wówczas możemy już pobłażliwie i z sentymentem popatrzeć, jak sektor społeczny buduje naszą wspólną przyszłość. A my, milionerzy... O nas można by nieśkończenie!

TERESA KONARSKA



JACY JESTEŚMY?

Czy nauczyciele różnią się — i czym się różnią — od przedstawicieli innych zawodów, od ogółu społeczeństwa? Dość często w środkach masowego przekazu, i nie tylko, przypisuje się im wiele wad, wskazuje na liczne niedostatków w postawach czy kontaktach z uczniami. Krytykowani bronią się, nie zawsze skutecznie, bo najczęściej brakuje argumentów. A takie argumenty istnieją. Dostarczają ich badania nad zawodem nauczycielskim prowadzone w latach 1980—84 pod kierunkiem naukowym doc. dra Tadeusza Malinowskiego (badania z problemu węzłowego nr 1.11. „Modernizacja systemu oświaty w PRL”). Pierwsze refleksje i wyniki tych badań zamieściliśmy w numerach 6 i 21 „Głosu” z 1986 r., dziś wypowiedź traktującą o potrzebach nauczycieli i poczuciu ich zaspokojenia. W kolejnych numerach — o systemie wartości i postawach moralnych.

Badaniom poddano nie tyle samą potrzebę nauczycieli (osobiste, społeczne, zawodowe), co raczej poczucie ich zaspokojenia, a więc stopień zadowolenia lub niezadowolenia z 15 wybranych zakresów spraw życiowych. Postąpiłamiś tak dlatego, by możliwie dokładnie powtórzyć dwukrotnie badania W. Wiśniewskiego na próbie ogólnokrajowej i w ten sposób uzyskać wyniki porównywalne, odpowiadające na pytanie: w zakresie jakich potrzeb nauczyciele, jako grupa zawodowa, różnią się od ogółu społeczeństwa? Ponadto wychodziliśmy z założenia, że subiektywne odczucie przez nauczyciela stopnia zadowolenia z określonych spraw społecznych i zawodowych jest też pewnym faktem społecznym, który stanowi określoną wartość kulturową i składnik jego zachowania.

Zbadaliśmy ogółem 3746 nauczycieli (1984 r.) metodą ankiety, w grupach celowo dobranych. Respondenci mieli określić stopień zadowolenia z aktualnego stanu następujących spraw: 1) warunki mieszkaniowe, 2) sytuacja rodzinna, 3) osiągnięcie wykształcenia, 4) kierunek wykształcenia, 5) kontakty towarzyskie, 6) dostępność rozrywek, 7) warunki wypoczynku, 8) wykonywany zawód, 9) warunki pracy, 10) sytuacja materialna, 11) wyniki w pracy zawodowej, 12) stosunki społeczne w szkole, 13) miejscowość, w której się mieszka, 14) posiadana wiedza, 15) współpraca ze środowiskiem społecznym; można także było wymienić „inne ważne sprawy... jakie?”. Ponadto w dodatkowym pytaniu należało określić, które z tych spraw mają najważniejsze znaczenie życiowe dla danej osoby. Stopień zadowolenia ujęto w czterostopniowej skali: „zdecydowanie zadowolony”, „raczej zadowolony”, „raczej niezadowolony”, „zdecydowanie niezadowolony”.

ZAWÓD BLISKI SERCU

Ponad 30 proc. nauczycieli jest zdecydowanie zadowolonych tylko z trzech sytuacji życiowych, a mianowicie z wykonywanego zawodu (33,4 proc.), kierunku wykształcenia (32,4 proc.) oraz z sytuacji rodzinnej (30 proc.). Po kilkanaście procent jest też zdecydowanie zadowolonych z poziomu osiągniętego wykształcenia, warunków mieszkaniowych i kontaktów towarzyskich. Z pozostałych warunków i sytuacji życiowych zdecydowanie zadowolonych jest tylko po kilka procent nauczycieli. W tym przypadku wybory koncentrują się w skalach średnich („raczej zadowolony” i „raczej niezadowolony”).

Natomiast największe odsetki zdecydowanie niezadowolonych dotyczą: sytuacji materialnej (26,5 proc.), warunków wypoczynku (25,9 proc.), dostępności rozrywek (25,2 proc.), warunków mieszkaniowych (19,2 proc.) i warunków pracy (11,5 proc.).

Stosunkowo najwięcej nauczycieli jest względnie zadowolonych z wyników osiągniętych w pracy zawodowej (75,3 proc.) oraz z posiadaną wiedzą i kontaktów towarzyskich (ponad 60 proc.). Ponad połowa osób jest również raczej zadowolona z charakteru wykonywanego zawodu, sytuacji rodzinnej, osiągniętego poziomu i kierunku wykształcenia, miejsca zamieszkania oraz stosunków społecznych w szkole i środowisku.



z tych zakresów spraw, które dotyczą sytuacji wewnątrzszkolnych i współdziałania szkoły ze środowiskiem. Niewątpliwie taki stan odczuwa przez nauczycieli poziom zaspokojenia istotnych potrzeb życiowych i zawodowych ma wpływ na ich zachowanie i sprawność zawodową, a także że zapewne staje się stresogenne i konfliktotwórcze.

Analiza tych oche wykazała, że istnieją związki między poziomem zadowolenia i niezadowolenia określonych grup nauczycieli z poszczególnych zakresów spraw życiowych i zawodowych. Oteż nauczyciele, którzy są najsilniej zidentyfikowani ze swoim zawodem (zdecydowanie zadowoleni z wykonywanego zawodu i wyników pracy), jednocześnie najczęściej są niezadowoleni ze swojej sytuacji materialnej (76,3 proc.), współpracy ze środowiskiem społecznym (61,4 proc.), warunków pracy (58,3 proc.) i posiadaną wiedzą (51 proc.).

Fakty te zdają się wiele wymowne. Wskazują one, że nauczyciele, którzy najsilniej utożsamiają się z zawodem, mają jednocześnie i stosunkowo najwyższe wymagania wobec samych siebie i wobec warunków pracy. W wyraźnym konflikcie z tymi sytuacjami zawodowymi, które dają im najwięcej zadowolenia i satysfakcji życiowej, pozostaje ich sytuacja materialna. Częściej też są oni niezadowoleni z zakresu dostępu do kultury i warunków wypoczynku. Niezaspokojenie tych ostatnich potrzeb dotyczy również osób, które są zadowolone ze swojej sytuacji rodzinnej i mieszkaniowej. Możemy zatem ogólnie powiedzieć, że w odczuciu większości nauczycieli występuje wyraźna dysproporcja między społecznym znaczeniem ich pracy, poziomem ich uspołecznienia i kwalifikacji a świadectwem, jakie otrzymują oni ze strony społeczeństwa.

WIEK, WYKSZTAŁCENIE, ZAROBKI

Występują też pewne różnice w poziomie potrzeb i stopniu ich zaspokojenia, zależne od cech własnych poszczególnych grup nauczycieli. Na przykład, wiek respondentów wyraźnie się wiąże ze stopniem zadowolenia z sytuacji mieszkaniowej, wykształcenia i warunków pracy; starsi są częściej zadowoleni. Rządziej też krytycznie oceniają oni stosunki między ludzkie w zespołach nauczycielskich i stosunki ze środowiskiem społecznym. Młodszy natomiast częściej są zadowoleni z warunków wypoczynku, kontaktów towarzyskich i dostępności rozrywek.

Stopień zadowolenia ma też istotny wpływ na odczucie stopnia zaspokojenia określonych potrzeb życiowych. W tym przypadku najbardziej istotne różnice występują między nauczycielami mającymi wykształcenie średnie i wykształcenie wyższe zawodowe. Na przykład ci ostatni mają stosunkowo najlepszą sytuację mieszkaniową, a ci z wykształceniem średnim — najgorszą.

Wśród nauczycieli mających wykształcenie magisterskie 93,9 proc. jest zadowolonych z osiągniętego poziomu wykształcenia, a wśród osób z wykształceniem średnim — tylko 38,4 proc. Nauczyciele z wyższym wykształceniem średnim — tylko 38,4 proc. Nauczyciele z wyższym wykształceniem zawodowym są najczęściej niezadowoleni ze swoich kontaktów towarzyskich i warunków wypoczynku.

Stopień zadowolenia z warunków pracy wzrasta w kolejnych grupach osób mających coraz wyższy poziom wykształcenia. Nie dotyczy to jednak stosunków społecznych w szkole, które są najczęściej krytycznie oceniane przez grupę osób z wykształceniem magisterskim. Ci ostatni również najczęściej krytycznie oceniają współpracę szkoły ze środowiskiem społecznym. Zapewne mają oni wyższe wymagania (potrzeby) w tym zakresie. Ze współpracy ze środowiskiem są najczęściej zadowoleni nauczyciele z dyplomem SN.

Osoby samotne są częściej niż pozostałe niezadowolone ze swoich warunków mieszkaniowych, sytuacji rodzinnej, wykształcenia i warunków pracy. Częściej natomiast są zadowolone z dostępnych warunków wypoczynku.

Nauczyciele mający dzieci częściej niż bezdzietni są zadowoleni ze swojej sytuacji rodzinnej, z warunków mieszkaniowych, wykształcenia, warunków pracy i miejsca zamieszkania. Natomiast częściej są niezadowoleni ze swoich kontaktów towarzyskich, warunków wypoczynku i dostępności rozrywek. Ocena warunków wypoczynku jest skrajnie zróżnicowana między osobami bezdzietnymi i mającymi dzieci, ci ostatni są najbardziej niezadowoleni z tych warunków.

Interesujący wydaje się fakt, że najczęściej najbardziej zadowolone ze swojej sytuacji rodzinnej są osoby mające dwoje dzieci. Wzrost liczby dzieci powoduje, że coraz częściej jest się „raczej zadowolonym” z tej sytuacji.

Zarobki mają silny wpływ różnicujący stopień zaspokojenia określonych potrzeb. Jakkolwiek, ogólnie biorąc, niezadowolenie z sytuacji materialnej jest wysokie, to jednak małe ono w grupach osób o wyższym poziomie wykształcenia i stażu pracy, co odzwierciedla strukturę plac nauczycielskich. Osoby więcej zarabiające częściej są zadowolone ze swojej sytuacji mieszkaniowej, dostępności rozrywek, kontaktów towarzyskich i warunków wypoczynku. W odniesieniu do tej ostatniej wartości różnice są istotne: od 3,4 proc. zadowolonych w grupie osób najmniej zarabiających, do 51,2 proc. wśród najlepiej sytuowanych materialnie.

Interesujące wydaje się, że poziom zarobków i dochodu na osobę w rodzinie nie ma istotniejszego wpływu na stopień zadowolenia z wykonywanego zawodu i warunków pracy. Ma on natomiast istotny związek z kierunkiem wykształcenia, czym wyższe zarobki, tym częściej występuje zadowolenie z wyuczonej specjalności.

Istotne znaczenie w zaspokojeniu określonych potrzeb życiowych ma miejsce zamieszkania i pracy nauczyciela. Czym większa jest miejscowość (pod względem liczby mieszkańców) — tym częściej występuje zadowolenie z poziomu wykształcenia, kontaktów towarzyskich i dostępności rozrywek. Jest to, oczywiście, potwierdzeniem faktu, że na wsi i w małych miasteczkach pracuje więcej nauczycieli mających niższe wykształcenie i, że częściej są oni z tego powodu niezadowoleni, a dostępności odpowiednich kontaktów towarzyskich i rozrywek jest tu z natury rzeczy mniejsza. To sprawia, że nauczyciel z wyższym wykształceniem niechętnie podejmie pracę na wsi.

Natomiast interesujące wydaje się to, że miejsce zamieszkania, tak przeciwieśniodające warunki życia i pracy nauczycieli, nie ma istotniejszego wpływu na stopień zadowolenia z innych istotnych spraw życiowych i zawodowych: z sytuacji rodzinnej, wykonywanego zawodu, warunków i wyników w pracy, stosunków społecznych w szkole i stosunków szkoły ze środowiskiem społecznym.

PODOBIEŃSTWA I RÓŻNICE

W tym to kontekście istotne jest pytanie, jakie są różnice w odczuciu zadowolenia z zaspokojenia określonych potrzeb życiowych nauczycieli i ogółu społeczeństwa, czyli — jaka jest specyfika nauczycielskiej grupy zawodowej w porównaniu z całością społeczeństwa?

Podobni do ogółu społeczeństwa są nauczyciele w zakresie stopnia zadowolenia z jednego tylko zakresu spraw, a mianowicie: dostępności rozrywek (28,3 proc. oraz 28,4 proc. zadowolonych). Stopień zaspokojenia pozostałych potrzeb jest zróżnicowany, w pewnych zakresach bardzo wyraźnie (odzwierciedla to tabela). Za punkt wyjścia przyjęto hierarchię powstałą w wyniku badań na próbie ogólnokrajowej.

Dane zawarte w tej tabeli wskazują, że w kilku istotnych zakresach spraw życiowych oceny nauczycieli są zbliżone do ocen właściwych dla ogółu społeczeństwa i to zarówno w odniesieniu do sytuacji (warunków, spraw), z których stopień zadowolenia jest dość wysoki — jak też w stosunku do problemów, które w tej hierarchii występują na ostatnich miejscach. Niemalże różnica dotyczy stopnia zaspokojenia takich potrzeb, jak warunki pracy, sytuacja rodzinna, miejsce zamieszkania, warunki wypoczynku, warunki mieszkaniowe i kontakty towarzyskie. Różnice w stosunku zaspokojenia tych potrzeb wahają się w granicach od 2,9 proc. do 5,6 proc.

A więc możemy ogólnie powiedzieć, że stopień zaspokojenia tych potrzeb życiowych jest u obu grup zbliżony. Bardziej znaczące różnice dotyczą sytuacji material-

nej, z której względnie zadowolona jest połowa społeczeństwa i tylko 31 proc. nauczycieli. Warto przy tym podkreślić, co wiadomo z innych źródeł, że potrzeby materialne nauczycieli nie są przesadnie wysokie i mieszczą się w przeciętnych potrzebach rodzin pracowniczych a sposób wydatkowania pieniędzy przez nauczycieli jest bardziej racjonalny niż ma to miejsce w całości społeczeństwa.

Najbardziej istotne różnice w tej hierarchii wyborów, sięgające kilkudziesięciu procent i świadczące o wyraźnej specyfice nauczycieli, dotyczą problemów zawodowych, problemów pracy, wiedzy i wykształcenia.

W hierarchii spraw, z których nauczyciele mają znacznie więcej satysfakcji życiowej niż ogół społeczeństwa, na pierwszym miejscu występuje sam charakter wykonywanego zawodu (91,7 proc. zadowolonych wobec 69,2 proc.), następnie poziom wykształcenia (70,8 proc. wobec 40,2 proc.), wiedza (67,4 proc. wobec 41,3 proc.) oraz kierunek wykształcenia (84,3 proc. wobec 48,4 proc.). U nauczycieli też znacząca pozycja w hierarchii zaspokojonych potrzeb stanowią wyniki w pracy zawodowej.

SZKIC DO PORTRETU

Możemy zatem ogólnie powiedzieć, że w hierarchii spraw, które dla nauczycieli mają najważniejsze znaczenie, są problemy zawodu, rodziny, pracy i wiedzy. Jest to wyraźnie ukształtowany zbiór potrzeb rodzinno-pracowniczych i edukacyjnych, z którymi występuje najwyższy stopień identyfikacji i których zaspokojenie daje najwyższy poziom zadowolenia. Ma to związek z wyraźnie obniżonym poziomem zaspokojenia potrzeb materialnych i zdrowotnych. Odczucie tej dysproporcji jest u nauczycieli nasilone, co zapewne staje się jednym z najistotniejszych źródeł stresogennych w tym środowisku. Dysproporcje w zaspokojeniu tych potrzeb z natury rzeczy powodują impulsywność i emo-



jonalność zachowania, co przenosi się na stosunki między ludzkie w zespołach nauczycielskich i na relacje nauczyciel — środowisko (społeczeństwo), a zapewne też w jakimś stopniu występuje w relacjach nauczyciel — uczeń.

Z innych badań, prowadzonych w tym czasie, wiemy, że nauczycieli występuje słabe poczucie pewności siebie, stanowczości, zdecydowania, autorytaryzmu, potrzeba pokazania się innym i dominowania. Charakterystyczna jest raczej tendencja do usuwania się w cień, której towarzyszy wyjątkowo nasilona potrzeba opiekiowania się innymi, okazywania im sympatii, w żłiwności na troski innych, humanitarności, łagodność. Dążą oni do bliskich kontaktów z innymi, do współdziałania, przyjaźni, towarzysstwa. Jest to potrzeba afiliacji, która wiąże się z niezaspokojoną potrzebą uznania i szacunku oraz dążenia do podwyższenia swojego autorytetu i prestiżu społecznego, przede wszystkim drogą osiągnięć praktycznych.

Na nauczyciela wywierane są naciski negatywne, które wywołują silną potrzebę oparcia (ekonomicznego, społecznego, fizycznego). Brak tego oparcia powoduje ucieczkę od rzeczywistości w kierunku spraw prywatnych i „radości działania” w mniejszych grupach. Powoduje on także uczucie niepokoju, z groźbami i winy oraz tendencję do obrony przed próbami jakiegokolwiek ingerencji w sprawy życiowe i zawodowe. Ten stały niepokój, poczucie niepewności i zagrożenia, wiąże się z destabilizacją w pracy nauczycielskiej w latach tzw. wielkiej reformy szkolnej (dziesięciolatka i inne) i przełomu lat osiemdziesiątych, z ciągłym liczbą rozmaitych programów, wielką liczbą przebiegów regulujących pracę szkoły i nauczycieli oraz z ciągłą ich zmiennością. Jeśli do tego dodamy niską pozycję materialną, to powstaje kompleks czynników stale działających negatywnie na stan psychiczny nauczyciela, stale wytwarzających poczucie zagrożenia i niepokoju, winy i niższości oraz silną potrzebę oparcia i obrony.

Zapewne z tym kompleksem uwarunkowań i nacisków, ale również z samą istota

pracy nauczycielskiej, ze złożonością i konfliktowością, licznymi problemami pedagogicznymi, wiąże się dość specyficzne potrzeby nauczycieli. Jest to potrzeba ładu i porządku wewnętrznego — potrzeba aktywności rozumnej, potrzeba rozumienia rzeczywistości i działania rozumnego, refleksyjnego. Towarzyszy jej potrzeba zmiany sposobu działania i elastyczności w zachowaniu oraz podatność na przyjmowanie nowych idei.

Z tych wszystkich potrzeb, zaspokojonych i nie zaspokojonych, najsilniej odczuwana jest potrzeba aktywności i osiągnięć praktycznych. I to właśnie odróżnia nauczycieli od ogółu społeczeństwa w zakresie ich celów życiowych i potrzeb, w których dominującą rolę odgrywa problem pracy, wiedzy i rodziny. Jest to wyraźnie określony typ orientacji życiowej o charakterze rodzinno-pracowniczym, któremu — w odróżnieniu od ogółu społeczeństwa — towarzyszy wysokie nasilenie potrzeb w zakresie wiedzy.

Prospieczna postawa nauczycieli wyraża się głównie w wysokim stopniu ich identyfikacji zawodowej i w dążeniu do możliwie wysokich wyników w pracy, niezależnie od znaczących barier ograniczających te wyniki i od zniechęceń i rozczarowań płynących z własnej pozycji materialnej, warunków życia i pracy, warunków wypoczynku, dostępu do kultury itp. W stosunku do ogółu społeczeństwa cele życiowe i potrzeby nauczycieli są pełniejsze, ambitne i wszechstronne.

Ujmując ogólnie uzyskane wyniki możemy powiedzieć, że istnieją dwa podstawowe zakresy spraw, które integrują osobowość nauczyciela. Są to problemy zawodu (pracy i wiedzy) oraz rodziny. Z punktu widzenia tych dwóch podstawowych wartości są rozpatrywane wszystkie inne

Zawód jest przy tym rozumiany szeroko, jako zadanie życiowe o wyjątkowym znaczeniu społecznym, jako zadanie kontynuacji rozwoju całej społeczności narodowej. Stąd tak silna motywacja prospołeczna, humanizm, opiekunostwo, poczucie odpowiedzialności wobec społeczeństwa, dbałość o własny autorytet i autorytet szkoły.

Tę postawę towarzyszą jednak sytuacje konfliktowe, związane z poczuciem spadku prestiżu społecznego zawodu nauczyciela i roli oświaty w społeczeństwie, poczuciem niepewności i zagrożenia możliwości skutecznego spełniania przez szkołę przypisywanej jej tradycyjnie funkcji kontynuacji kulturowej narodu. Wprawdzie nauczyciele są częściej zadowoleni z różnych problemów życiowych i zawodowych niż ogół społeczeństwa, ale zdecydowane wybory w tych zakresach są stosunkowo niewielkie a duża liczba osób jest niezadowolona z aktualnego stanu wielu spraw. Zestawienie tych wyborów obok siebie może też nasuwać przypuszczenie, że nauczyciele tradycyjnie uważają swój zawód za nader godny społecznie, ale w praktyce nie dający satysfakcji z wyników, wykonywany w trudnych warunkach (45,6 proc. niezadowolonych) i bez dostatecznej do tego wiedzy (32,6 proc. niezadowolonych), w nie najlepszej atmosferze w szkole (34,6 proc.) i piętrzących się trudnościach we współpracy ze środowiskiem społecznym (46,2 proc. niezadowolonych) i tylko 3,1 proc. zdecydowanie zadowolonych), a nade wszystko w warunkach niskiego uposażenia i osobistych trudności materialnych.

W wyniku tych badań wytłania się również obraz nauczyciela, który jest w sytuacji konfliktowej, żyje nierównymi postulatami, a w rzeczywistości jest zmęczony warunkami pracy, trudnościami materialnymi, konfliktami w szkole i środowisku, brakami w wiedzy i poczuciem niedosytu satysfakcji.

I gdyby tak było rzeczywiście, to nie ma w tym nic zaskakującego, gdyż w całym społeczeństwie dokonują się „różne wartościowania wartości”, w tym moralnych, pracowniczych, intelektualnych i materialnych. Wydaje się jednak szczególnie istotne to, że choć nauczycieli charakteryzuje postawa zachowawcza, to w uznawanych przez nich naczelnych wartościach społecznych na pierwszym miejscu występuje wydajna praca i wysoki poziom moralny. O tych wartościach powiemy w innym artykule.

DOC. DR TADEUSZ MALINOWSKI

1. W. Wiśniewski, Przemiany w poczuciu zaspokojenia potrzeb oświatowych na tle niektórych innych potrzeb społecznych w latach 1977—1981. Wydawnictwo Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1983.
2. Tadeusz Marzec, Potrzeby psychiczne nauczycieli i wychowawców. Raport z badań, s. 93, w dokumentacji naukowej IKR.

ZWYCIĘSTWO

Zarząd Koła Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Orlcu (Bieszczady) serdecznie dziękuje za zamieszczenie w numerze 42 „Głosu” informacji o kłopotach z klasami łączonymi w naszej miejscowości („Czy stracone nadzieje?”). Artykuł ten ukazał się w bardzo ważnym momencie, tuż przed zjazdem Związku Nauczycielstwa Polskiego. W naszym województwie wywołał on duże zainteresowanie nauczycieli, władz oświatowych na zjazd ZNP. Mamy nadzieję, że pracownicy naszego kuratorium wyciągną z tej lektury właściwe wnioski, a resort oświaty opracuje w najbliższej przyszłości jakieś sensowne zarządzanie o planach nauczania w szkołach podsawowych, liczących mniej niż 100 uczniów i pozwoli radom pedagogicznym na pewną autonomię w planowaniu pracy dydaktycznej.

Ta magiczna liczba — 143 godzin tygodniowo pozwoliła nam na rozłączenie zajęć z języka polskiego i matematyki w klasach I i II oraz VII i VIII. Lekcje z pozostałych przedmiotów w tych klasach oraz wszystkie zajęcia dla klas III—IV, V—VI odbywają się nadal systematycznie systemem łączonym, tzn. dwie różne wiekowe klasy z jednym nauczycielem w jednej sali.

Serdecznie dziękujemy redakcji za wykazanie zainteresowania problemami dziecka z małej wsi.

STANISŁAW ORŁOWSKI
przewodniczący Koła TPD

PRACOWITA SESJA

Wojewódzka Rada Postępu Pedagogicznego w Krośnie przy Zarządzie Okręgu ZNP oraz KOiW zorganizowała — z inicjatywy Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Rymanowie-Zdroju, a konkretnie jego dyrektora, Magdaleny Wojewody — sesję popularnonaukową na temat: „Współczesne tendencje i rozwiązania inwestycyjne w kształceniu specjalnym”. Spotkanie odbyło się 15 listopada br. w Rymanowie, zgromadziło ponad 140 uczestników — nauczycieli szkół i klas specjalnych, dyrektorów tych placówek, pracowników KOiW, metodyków. Obradom przysłużyli się nauczelnicy gminy Rymanów — Tadeusz Sowa, naczelny lekarz uzdrowiska rymanowskiego — Władysław Jurczak.

Zaproszeni z krakowskiej WSP prelegenci, dr Jan Pilecki i dr Władysław Pilecka, wygłosili interesujące w skupieniu wysłuchane odczyty. Pierwszy dotyczył współczesnych tendencji innowacyjnych w kształceniu specjalnym w świecie, drugi wsomagał funkcji psychologii i organizacji procesu dydaktyczno-wychowawczego w placówkach leczniczych. Autorami

Rady Pedagogicznej i przewodniczący Społecznego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole w Orlcu, Bogdan Chutlerter przedstawili nasze problemy w Międzywojewódzkiej Konferencji Oświaty i Wychowania. Został tam bardzo serdecznie przyjęty, z uwagą wysłuchano jego wyjaśnień i — mimo negatywnej opinii Kuratorium Oświaty i Wychowania w Krośnie — uzyskaliśmy zgodę na wprowadzenie od 16 września br. zajęć lekcyjnych według naszego, indywidualnego planu nauczania z liczbą 143 godzin tygodniowo dla przedmiotów obowiązkowych.

Pragniemy również poinformować redakcję, że grono nauczycielskie naszej szkoły nie rezygnowało ze starań o uzyskanie zgody na wprowadzenie indywidualnego planu nauczania w bieżącym roku. Już po rozpoczęciu zajęć przedstawiciel

komunikacji związanych z praktycznymi, nowatorskimi rozwiązaniami pedagogicznymi w szkolnictwie specjalnym byli nauczyciele i metodycy — Barbara Białas, Stefan Brélik, Danuta Siwarska, Jolanta Telega, Józef Ziema.

W dyskusji m.in. Alicja i Andrzej Ekiertowie mówili o wychowaniu zdrowotnym jako czynniku terapeutycznym w placówkach leczniczo-wychowawczych (współpraca służby zdrowia z pedagogami) oraz modyfikacjach procesu dydaktycznego w szkole sanatoryjnej. Nie starczyło czasu dla wszystkich chętnych dyskusantów. Uczestnicy sesji zapoznali się w przerwie z imponującą wystawą „prac ręcznych” (by przypomnieć dawną nazwę) wychowanków szkolnictwa specjalnego. Ekspozycje pochodzą z ośrodków w Brzozowie, Jasie, Krośnie-Turaszowie, Sanoku, Ustrzykach Dolnych. Wystawa pomocy naukowych wypracowanych przez gospodarzy obrad i ich wychowanków, zwiedzająca tuż po sesji, znajdowała się w Rymanowie-Zdroju — w sanatorium.

Poza naukową dydaktyczno-wychowawczą warsztata i dorobkiem sesji podkreślić trzeba jej głęboko humanitarny klimat, odczucie ciągłej gotowości do szczególnie trudnej pracy z dziećmi przewlekłe i stale chorymi.

EDWARD KLEIN
Krośno

BĘDZIE JAK NOWA

Uczniowie i nauczyciele Szkoły Podstawowej nr 3 im. L. Teligi w Pырczakach pracują w niezwykle ciężkich warunkach. W 13 salach lekcyjnych uczy się ponad 1000 uczniów. Dlatego też lekcje trwają na trzy zmiany — od godziny 7.00 do 18.00.

Postanowiliśmy więc rozpocząć starania o rozbudowę naszej placówki. Powstał Społeczny Komitet Rozbudowy Szkoły, na czele którego stanął ówczesny zast. naczelnika miasta i gminy, a obecnie naczelnik — Stanisław Stępień. Komitet rozpoczął działalność od rozpragowania idei rozbudowy wśród społeczeństwa. Wystosowano apel do rodziców i zakładów pracy. Zebrano deklaracje przewidywały wpływ gotówki na sumę ponad 5 mln zł oraz ponad 8 tys. godzin pracy. Zaczęły wpływać środki finansowe od zakładów pracy. Po 100 tys. złotych przekazały: Kombinat PGR, Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska, Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego. Również rodzice rozpoczęli wpłacać pieniądze na rozbudowę. Zelecono dokumentację, która obecnie jest w końcowej fazie opracowania. Przewiduje ona wybudowanie 18 sal lekcyjnych, gabinetu lekarskiego i stomatologicznego, biblioteki, czytalni, zaplecza socjalnego dla uczniów, sali sportowej oraz kompleksu boisk.

Wojewódzki Komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole włączył rozbudowę szkoły w plan budowy „50 szkół na 50-lecie wyzwolenia ziemi szczecińskiej”. Komitet znalazł wykonawcę — Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego, którym kieruje zaangażowany w sprawy rozwoju bazy szkół inż. Walery Cuper. Pracują tam rów-

MARIAN MATYSIAK
Pyrzycze



MIĘDZY „FAUSTEM” A „KALEWALĄ”

HENRYKA WITALEWSKA

„Gdyby teatr nie łączyl w sobie wszystkich sprzeczności świata, gdyby jednocześnie nie był sztuką linoskoczka i magią kapłańską, trybuną agitacji politycznej i miejscem najbardziej od życia oderwanych upojeń i wrzruszeń, gdyby z równym kunsztem nie odwarzał szpetoty codziennej i palosu czynów heroicznych — nie byłby wart naszych zainteresowań i naszych poświeceń” — pisał kilkadziesiąt lat temu najwybitniejszy artysta polskiej sceny, Leon Schiller. Jak niezwykle trafne i celne to słowa — pokazały również tegoroczne, czwarte już z kolei Międzynarodowe Spotkania Teatralne, podczas których oglądaliśmy spektakle najrozmaitsze: i takie, które były „szukłą linoskoczka” i magię kapłańską, i takie, które można nazwać „trybuną agitacji politycznej”, i takie które odwarzały „szpetotę codzienną” bądź też „najbardziej od życia oderwane upojenia i wrzruszenia”...

Najpierw jednak przypomnijmy, że poprzednie Międzynarodowe Spotkania Teatralne odbyły się u nas w latach: 1978, 1980 i 1983. Poprzedził je bardzo udany sezon Teatru Narodów w Warszawie w 1975 roku. Wtedy wtedy zrodziła się w Polsce myśl, by kontynuować te praktyki i by, obok wielu krajowych festiwali teatralnych, powołać do życia stały festiwal o zasięgu międzynarodowym.

Tak więc w listopadzie bieżącego roku odbyły się IV Międzynarodowe Spotkania Teatralne, na które zjechało do Warszawy siedem teatrów: Scottish Theatre Company z Glasgow, Teatr Remondiego i Caporossiego z Rzymu, węgierski Teatr im. Gergery Csiky z Kaposvár, bułgarski Teatr Dramatyczny „Sofia”, Thalia Theater z Hamburga, Teatr Miejski z Helsinek oraz moskiewski Teatr Dramatu i Komedi na Tagance. Miłośnicy Melpomeny mieli zatem znów okazję do zapoznania się z tym, co i jak gra się obecnie za granicą oraz do konfrontacji owych gościnnych przedstawień z tym, co proponują rodzime sceny i rodzimi twórcy. A także do dumania o miejscu teatru we współczesnej kulturze artystycznej, nade wszystko zaś o tym, jak dalece sztuka ta może łączyć i integrować przedstawicieli różnych nacji, kultur i pokoleń. Nad tajemnicą i magią teatru, której to magii ulegamy niezmiennie od lat, choć byli tacy, którzy przepowiadali, że film i telewizja położą jej kres. Nie tylko nie takiego się nie stało, lecz przeciwnie: w ostatnim czasie (zwłaszcza w latach siedemdziesiątych) obserwowaliśmy w wielu krajach wyraźny renesans tej sztuki.

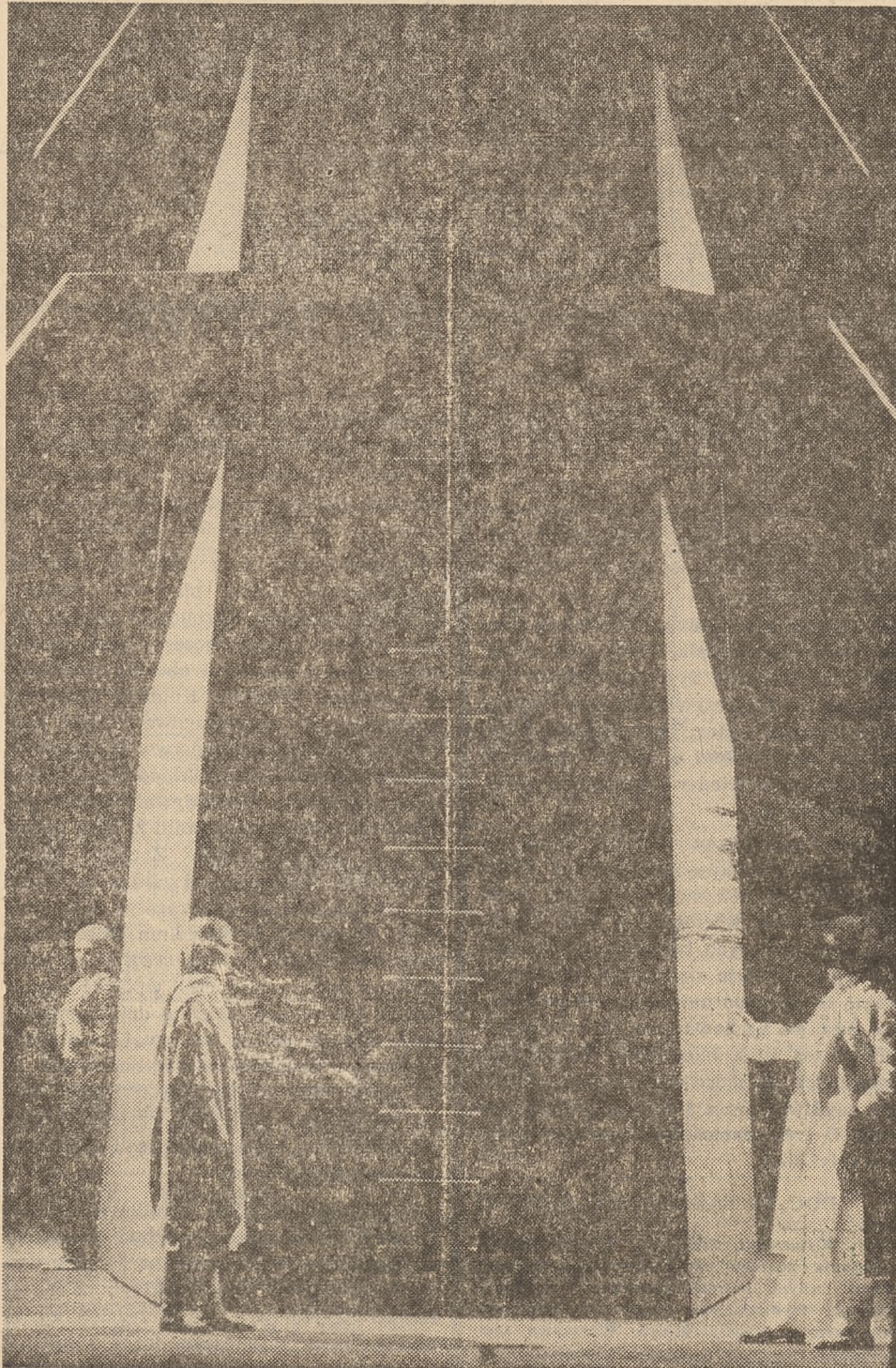
Wracajmy jednak do przedstawień prezentowanych w Warszawie przez gości. Rozpoczęli Szkołci, którzy przywieźli „Satyrę na trzy stany”, przypominającą dawne moralitety i przywodzącą na myśl naszą „Historję o Chwałebnym Zmarwychwstaniu Pańskim” czy „Żywot Józefa”. Pochebstwo, Uciecha, Fałsz, Oszustwo, Prawda, Swawola, Jaśniepani Rozkosz — oto między innymi „persony” owego, wystawionego po raz pierwszy w 1540 roku, dzieła Davida Lyndsay’a, które przysposobił teraz na scenę szkocki dramaturg i powieściopisarz — Robert Kemp, a wyreżyserował znany wielu krajach artysta, członek Królewskiej Szkołkiej Akademii Muzycznej i Teatralnej — Tom Fleming (który w 1965 roku złożył Royal Lyceum Theatre w Edynburgu).

Słynacy w świecie z niezwyklej oszczędności, a także i ascetyzmu, Szkołci zaskoczyli nas, a nawet oszłomili swym spektaklem: bujnym, barwnym i bogatym. Gra światła, wspaniałymi kostiumami, nade wszystko zaś wyborną grą aktorską. Uczta była co się zowie i także na jej zakończenie oklaski.

Rozczarował natomiast zdecydowanie (przynajmniej znaczną część widowni) spektakl pod wielce obiecującym tytułem: „Teatr”, przygotowany przez dwuosobowy zespół rzymskich artystów — Remondiego

i Caporossiego, którzy — jak wieść niesła — łączy w sobie „to co najlepsze, co dzisiejszy Rzym może dać z siebie teatrowi i nie tylko jemu: łachowców i serce, inteligencję i inicjatywę”. Jaskółkiwki bardzo ceniemy w teatrze włoskim, który dał tak wiele światu soczyste, nieczwonne inscenizacje commedia dell’arte, z zainteresowaniem i nadzieją śledzimy na spektakł Włochów, których doświadczenia i poszukiwania wywodzą się z twórczości Becketta. Liczyliśmy na głębsze przeżycia i doznania, obejrzelismy tymczasem przedstawienie, w którym przez cały czas dwaj aktorzy z uporem godnym lepszej sprawy... prują kurtynę i motają się straszliwie z grubym sznurem, z którego była pracownica „udzierniana”. Zapewne twórców (i zarazem wykonawców) tej inscenizacji przyswiecała głębsza myśl i idea, niestety, z uuccenieniem tej na scenie jakos nie bardzo się udało — spektakl był po prostu pusty i nużący, widzowie nie bez trudu wytrzymali do końca przedstawienia. A krytycy włoscy pisali, że Claudio Remondi i Riccardo Caporossi potrafia zjednać sobie współpracę i sympatię ze strony najbardziej opornych widzów...

Mimo niewątpliwego rozczarowania — warto było jednak obejrzeć na Międzynarodowych Spotkaniach i taki — tak bardzo różny od głównego nurtu współczesnych eksperymentów i poszukiwań teatralnych, zespół awangardowy. Cóż, eksperymenty artystyczne nie zawsze się udają i nie wszędzie jednakowo są oceniane i przyjmowane...



„Faust” w interpretacji hamburskiego Thalia Theater.

Z uznaniem natomiast spotkał się zespół węgierski z niewielkiego miasta Kaposvár, które właśnie w ostatnich latach z bardzo ciekawego teatru i młodych poszukujących reżyserów, słynie. Teatr z Kaposvár przywiózł dwa przedstawienia niezwykle interesujących utworów: „Mistrza i Malgorzaty” wg Michala Bulhakowa oraz „Marata (Sadea)” Petera Weissa, która to inscenizacja zdobyła główną nagrodę, a także nagrodę publiczności na Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym w Belgradzie w 1982 roku. Znajduje się ona zatem w repertuarze tego teatru od dawna, co niestety — jest zbyt widoczne w spektaklu, który wyraźnie stracił na świeżości i spontaniczności, stanowiącej zapewne dawniej jego ważny walor.

Głosna, grana na wielu scenach świata sztuka Weissa, której pełny tytuł brzmi: „Meczenstwo i śmierć Jean Paul Marata przedstawione przez zespół aktorski przytulku w Charenton pod kierownictwem pana de Sade’a” (jej światową prapremierę przygotował Konrad Swinarski w 1974 r. w zachodniobermlińskim Schiller-Theater w kilka lat później Swinarski inscenizował także te sztukę w warszawskim Teatrze „Ateneum”) — w reżyserii Janosa Asca, który po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę ciekawą inscenizacją „Słubu” Gombrowicza, straciła niewątpliwie na dramatyzmie i głębi, zyskała natomiast na efektowności, oryginalnej formie teatralnej, nawiązującej najwyraźniej do środków wyrazu używanych zwłaszcza przez teatralny ruch studencki.

Szczególnym zainteresowaniem widzów warszawskich cieszył się drugi spektakl węgierskich gości — „Mistrz i Malgorza” Bulhakowa. W Warszawie nie wystawiano bowiem jeszcze na scenie tego, tak wiele znaczącego w dwudziestowiecznej kulturze europejskiej, utworu (prezentowano go natomiast w Wałbrzychu i w Plocku). Próba zaprezentowania na scenie całego bogactwa prozy Bulhakowa to piekielnie trudne zadanie i artysta, który się tego podjął, już za samą odwagę zasługuje na uznanie. Wierć choć spektakl młodego reżysera węgierskiego Tomasa Aschera był nieco nużący, choć rozczarowali trochę odbiorcy głównych ról: Mistrza oraz profesora czarnej magii — Wolanda, choć niektóre sceny zdumiewały (na przykład interpretacja postaci Pilata, który w finale udziela komunii Mateuszowi Lewicowi), spektakl był długo oklaskiwany i przyjęty z uznaniem. Znajdowaliśmy bowiem w nim od czasu do czasu ów szczytny klimat swoistego surrealizmu i groteski Bulhakowa, a także wszystkie ważniejsze wątki powieści: Pilata i Wolanda, Mistrza i Bezdomnego.

Interesującą przgrodą artystyczną i intelektualną było też spotkanie z „Faustem” Goethego w wykonaniu Thalia Theater — najstarszej, powstałej w połowie XIX wieku, hamburskiej sceny. Spektakl niemiecki cieszył się dużym zainteresowaniem również i z tego względu, że w Polsce „Faust” nie był od bardzo dawna prezen-



Anatolij Efros — główny reżyser Teatru Dramatu i Komedi na Tagance.



Pełna poezji fińska „Kalewala”.

towany na scenach dramatycznych i poza Józefem Szajną, który w 1971 roku wystawił swą, budzącą gwałtowne sprzeciwy, wersję w warszawskim Teatrze Polskim (a także Królikiewiczem, który przygotował kilka lat temu wersję telewizyjną) nikt inny nie próbował mierzyć się z tym dziełem.

Twórcą hamburskiego przedstawienia — Jürgen Flimm, członek Prezydium Akademii Sztuki Teatralnej we Frankfurcie, a także członek Rady Teatralnej Instytutu im. Wolfganga Goethego, spróbował „przetłumaczyć” ten utwór, należący do kanonu największych arcydzieł, na język współczesności. Zrobił spektakl wyciszony i dyskretny, słynna „Noc Walpurgii”, traktowana tradycyjnie z ogromnym rozmachem, jest zaledwie zaznaczona. Reżyser stara się przede wszystkim ukazać poetycką i filozoficzną myśl — to wszystko, co rozgrywa się między Faustem a Mefistofelem: postaci, które stały się symbolami naszych człowieczych pragnień, wlotów i upadków.

Zupełnie innych wrażeń i doznań dostarczył polskiemu widzowi Finowie, Spektakl Teatru Miejskiego z Helsinek — „Kale-

wala” zauroczył widzów. „Kalewala” to fiński epos narodowy, na który składa się zbiór legend i pieśni ludowych Finlandii i Karelii, zaliczanych do najstarszych przejawów twórczości ludowej na świecie. Pieśni i legendy „Kalewali” tworzone na przestrzeni wieków przez anonimowych twórców i przekazywane w tradycji ustnej, zebrał, opracował i wydał w pierwszej połowie XIX wieku Elias Lönnrot — fiński poeta i badacz literatury.

Twórcą helsińskiego spektaklu — Jorma Uotinen, taneczn i choreograf tworzy oryginalne spektakle, które mają coś z baletu, coś z pantomimy i coś z dramatu, nie będąc jednak ani jednym, ani drugim, ani trzecim. On sam nazywa swą sztukę wizyjną lub też określa ją mianem teatru totalnego. I wyznaje zarazem: „Moje błędzenie, niepokój, wiara, wątpliwości, niecierpliwość, halucynacje, miłość, mściwość, moje serce — to jest mój teatr (...) Dla mnie teatr jest czymś pośrednim pomiędzy organizacją i chaosem. Jest snem i przebudzeniem, jest poezją na scenie”.

I taki jest właśnie spektakl „Kalewali”. Scena jest pustą, czarną przestrzenią, na której pojawiają się dziwne postacie — ustawicznie zmieniające się, wieloznaczne obrazy. Powiekrzania, Kralia Zmarłych, Młynkę Szczęścia, lód, śnieg, szron, woda, walka z ogniem, żywiołem, Pani Północy. Opowieść o życiu i walce dwóch wrogich plemion, dawne mity stają się zarazem przejmującą metaforą losu ludzkiego, nas wszystkich.

Podczas tego oryginalnego, tak odmiennego od tego, co widzieliśmy w różnego typu teatrach ruchu i plastyki, spektaklu, kojarzącego się może ze światem wizji i fantazji Bosch’a, uczestniczyliśmy niejako we wspólnym śnie. I jestesmy gotowi przyznać, że twórcy tego snu — Jormie Uotinenowi, że zobaczyliśmy istotnie coś, czego przedtem nie widzieliśmy, albo też to „na co mieliśmy oczy zamknięte”...

Ala taka właśnie jest rola sztuki: pomóc zobaczyć i dojrzeć to, czego nie dostrzegamy na co dzień, zajęci całkowicie i bez reszły naszymi (na ogół) małymi sprawami. Bez wątpienia, IV Międzynarodowe Spotkania Teatralne, choć skromniejsze od poprzednich, dostarczyły widzom sporo okazji do takich odkryć i spojrzeń.

Spotkanie z moskiewskim Teatrem na Tagance, który powstał bardzo niedawno, bo w 1964 roku i niemal od razu znalazł się w czołówce scen światowych, jest zawsze dla miłośników sztuki teatru nie lada przeżyciem. Założony przez Jurija Libimowa zespół, którego zasady estetyczne wywodzą się z twórczości wielkich reformatorów teatru światowego: Stanisławskiego, Wachstangowa, Meyerholda i Brechta, wykorzystuje najrozmaitsze środki ekspresji, posługując się cytałem filmowym, karykaturą, songiem, łączy często poetycki symbolizm z realizmem gry aktorskiej. Polskę widzieliśmy pamiętając zwłaszcza „Hamleta” w wykonaniu tego teatru — w roli tytułowej wystąpił w nim bowiem Władimir Wysocki — zdumiewający aktor, pieśniarz, kompozytor i poeta, który jak nikt inny, słyszał i czuł rytym swoich czasów, który również jako książę duński grał na gitarze i śpiewał specjalnie skomponowaną balladę do słów Borysa Pasternaka. Niezapomniana to była rola i niezapomniane przedstawienie (kilka tygodni później dotarła do nas wieść o nagłej śmierci tego fascynującego Hamleta).

Jakobowiek moskiewski Teatr Dramatu i Komedi nie ma już w swym zespole tak magnetyzującej osobowości, zainteresowanie jego występami było ogromne. A przywozi on tym razem trzy przedstawienia w inscenizacji nowego kierownika artystycznego zespołu, Anatolija Efrosa: „Na dzień” Gorkiego, „Wojna nie ma oblicza kobiety” według książki Swietłany Aleksiewicz oraz „Wiśniowy sad” Czechowa, który to spektakl na ubiegłorocznym Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym w Belgradzie otrzymał „Grand Prix”.

Właśnie na te przedstawienia było najtrudniej zdobyć bilety. Ci, którym się udało, mogli się przekonać, że głębokie przesłanie moralne i znakomite aktorstwo — stanowi wciąż o sile Teatru na Tagance.

Niezwykle gorąco przyjmowani artyści radzieccy zakończyli IV Międzynarodowe Spotkania Teatralne. Choć nie było nań wyrażnych ośwień i rewelacji, ukazały one, że dzisiejszy teatr ma się nie najgorzej, że mieni się wieloma barwami i tonami. Że jego twórcy starają się sprostać najrozmaitszym potrzebom psychicznym nas, współczesnych — i że często im się to udaje. Nade wszystko także bardzo potrzebny widzom: Humy młodych ludzi, k którzy długo czekali w kolejce na „wejściówki”, a potem zasiadali na schodach i podłodze lub też stali przez cały czas spektaklu — najwymowniej o tym świadcza. Bowiem żadne najznakomitsze ekrany i najnowocześniejsze wideo nie są w stanie zastąpić owej więzi, jaka rodzi się między aktorami a widownią, owego bezpośredniego kontaktu i wzajemnego oddziaływania na siebie. Owe barwy, temperatury i klimatu. Słowem — magii...

W CIENIU ALEGORII

W połowie listopada Praga już żyje światłami. Najmniejsza nawet wystawa udekorowana jest bożonarodzeniowymi akcesoriami: bombki, gałazki świerku, kolorowe światła wabia oczy, przyciągają uwagę, umiejętnie kierując ją na obfite towary zapelniających witryn. Z wyrobami rodzimego przemysłu skutecznie konkurują artykuły importowane ze wszystkich krajów socjalistycznych: nasze kosmetyki i a wieć tu kupić niż w Warszawie, a takiego wyboru dywanów z Kowar, jaki można obejrzeć w każdym domu towarowym, długo by w Polsce szukać, choć w ogóle tego artykułu u nas nie brak.

Przybywa znad Wisły, przywlekłego do wystaw przeważnie eksponujących doniczki z rachitycznymi roślinami, niedbale rzucony, nieefekowny i smutny sweterek lub w najlepszym wypadku — artystyczna kompozycja elementów z siporeksu, które tylko droga odległego skojazżenia pozwala się domyślić, co placówka ma do zaferowania — ten widok oszałamia i wytrąca z równowagi.

Na ziemię sprowadzają go dopiero osobliwości czasu otwarcia sklepów. Każdy bowiem właściwie pracuje w innych godzinach, i żeby było śmieszniej, co dnia te godziny się zmieniają. Generalnie sklep zamyka się o szóstej po południu, a otwiera dużo wcześniej niż u nas. Ale część placówek jest nieczynna już o czwartej, niektóre pracują do siódmej, a wielki dom handlowy na Valcejskiej! Namieści aż do ósmej, co zresztą hałaśliwie reklamują.

Rano, na dziewiątą, jestem umówiona w zarządzie głównym czeskiego związku zawodowego pracowników oświaty. Po drodze muszę kunić notes. Soarer ulicami Pragi to wprawdzie sama przyjemność — urok starich uliczek od czasu uruchomienia metra można wreszcie spokojnie chłochać bez przewychania się między tłumem przechodniów i samochodami — ale otwarcie sklepu iakoś nie widać. Na drzwiach wiszą wprawdzie szczegółowe plany informujące, w którym dniu i o której godzinie wzbudzik zostanie otwarty, ale z tego planowości każdemu w porze mi potrzebnej byt czynny wzornik lub będzie ino. W końcu kłopotu potrzebny notatnik. Do dziś jednak nie rozumiem, jak tubylcy radzą sobie z tą rodzinową staradą.

Związek młodzi się w dostojnej, starej mieszczańskiej kamienicy z imponującą klatką schodową. Znalazło tu lokum sporo różnych instytucji, nomieszczenia przystosowano do funkcji. Która dziś spełniała, ale nikt ich specjalnie nie unowocześniał. Dowodem gabinet sekretarza Zarządu Głównego, dr. Antonia Strnady, z którym rozmawiamy o pracy zawodowej pracowników różnych granicy Wiemy, że trafiam na gorący okres: trwa właśnie zwiazkowa kampania sprawozdawczo-wyborcza. Jakby dla potwierdzenia nowych spraw biurowych odwołują gospodarza do pilnego telefonu.

Ściane urządzonego podniszczonymi bluronymi meblami pokoju zdobi imponujące

malowidło w potężnych, obficie rzeźbionych i grubo złoczonych ramach. Kralja panienka, skapo przesiągnięta powiewnymi szatami, nabożnie spoglądając w górę wznosi się wśród obłoków w wyższe regiony niebios: do obrazu wieniec girlanda spleciona z naturalistycznie „odrobionych” godeł państwowych, wśród których poczesne miejsce przypadło znakowi monarchii austro-węgierskiej, ale wcale nie najpośledniejsze zajmuje nasz orzeł. Z dzieła emanuje atmosfera oderwania od kwestii przyziemnych, skupienia całej uwagi na sprawach wzniosłych, górnych i chmurnych. Wraz z towarzyszącym mi tłumaczem zastanawiamy się, co też artysta usiłował widziwi przekazać. W chwili, gdy prawie już uzgodnilismy poglądy, że jest to najprawdopodobniej alegoria wolności, przypuszczalnie z okresu Wiosny Ludów, wraca gospodarz i sprawa znajduje jakże prozaiczne wyjaśnienie.

Oóż Związek zajmuje część lokalu po znanym praskim domu bankowym, który swymi wlotwami obejmował ongiś dużą część Europy, rządzonej miłościwie przez cesarza Franciszka Józefa — stąd na obrazie nasz orzeł. Malowidło zaś, będące apoteozą wszechstronnie dobroczynnych, wręcz uwznioślających wpływów bankierskiego biznesu na sąsiednie kraje, stanowiło główny akcent dekoracyjny ukrytego sanktuarium samego szefa firmy. — O, proszę, tu do dziś są tajne drzwi — pokazuje dr. Antonia Strnada. — Stare jest, nam nie przeszkadza, niech więc sobie wisí — dodaje.

Ten przykład pozwala zrozumieć, skąd w Pradze zachowało się tak wiele budzących naszą zadródkę przedmiotów z przeszłości, staroci różnej wartości artystycznej i użytkowej. U nas niszczone nie tylko wskutek rozlicznych kataklizmów dziejowych w przeszłości, ale także współcześnie, w ramach modernizacji — dziś osiąga na różnych gładkach astronomiczne ceny: tam spokojnie wkomponowaną w codzienność, normalnie funkcjonującą w życiu dodając mu barwy i smaku.

★

Pilne sprawy już nasz gospodarz załatwił, intrzygująca zagadka została wyjaśniona. Z czeskich „Uczciwych Nowin” (w Bratysławie ukazują się słowackie), tygodnika wydawanego wspólnie przez ministerstwo oświaty i krajowy zarząd związku zawodowego wiem, że kampania sprawozdawczo-wyborcza właśnie finiszuje. Pismo odlicza tygodnie do krajowej konferencji.

Wielada na to, że nadanie tym po raz pierwszy rangi umowy prawnej jest sukcesem administracji oświatowej szczebla lokalnego. Gdzie tu miejsce dla Związku?

— Jest tego miejsca bardzo wiele, byleby lepiej spełniał swe zadania. Ale po kolei. Podstawa sporządzenia takiej umowy, która obejmuje okres pięcioletni, jest plan lokalnej rady. Z kolei podstawa sporządzenia takiego planu stanowi program wyborczy. Nauczyciele, a więc zwiazkowcy, są wyborcami, i także członkami rad — ma ją więc wlotw zarówno na kształt programu wyborczego, jak konstrukcje samego planu, którego jest częścią. Jest właśnie wspomnianą umową. Zresztą nasze prawo, jako zasada formułuje wymóg konsultacji każdego planu przez zwiazki zawodowe.

Rzecz w tym, że stale istnieje brywa tak, że plan konsultujemy formalnie, a potem narzekamy, że nasze potrzeby nie są zaspokojane, że w nim nie ma problemów oświaty, że nie docenia. Wier musimy na te plany patrzeć bardziej uważnie, aktywnie, uczuciwnie, w ich sporządzeniu i leniej kontrolować ich wykonanie.

— Właśnie. Umowa jest między radą a administracją.

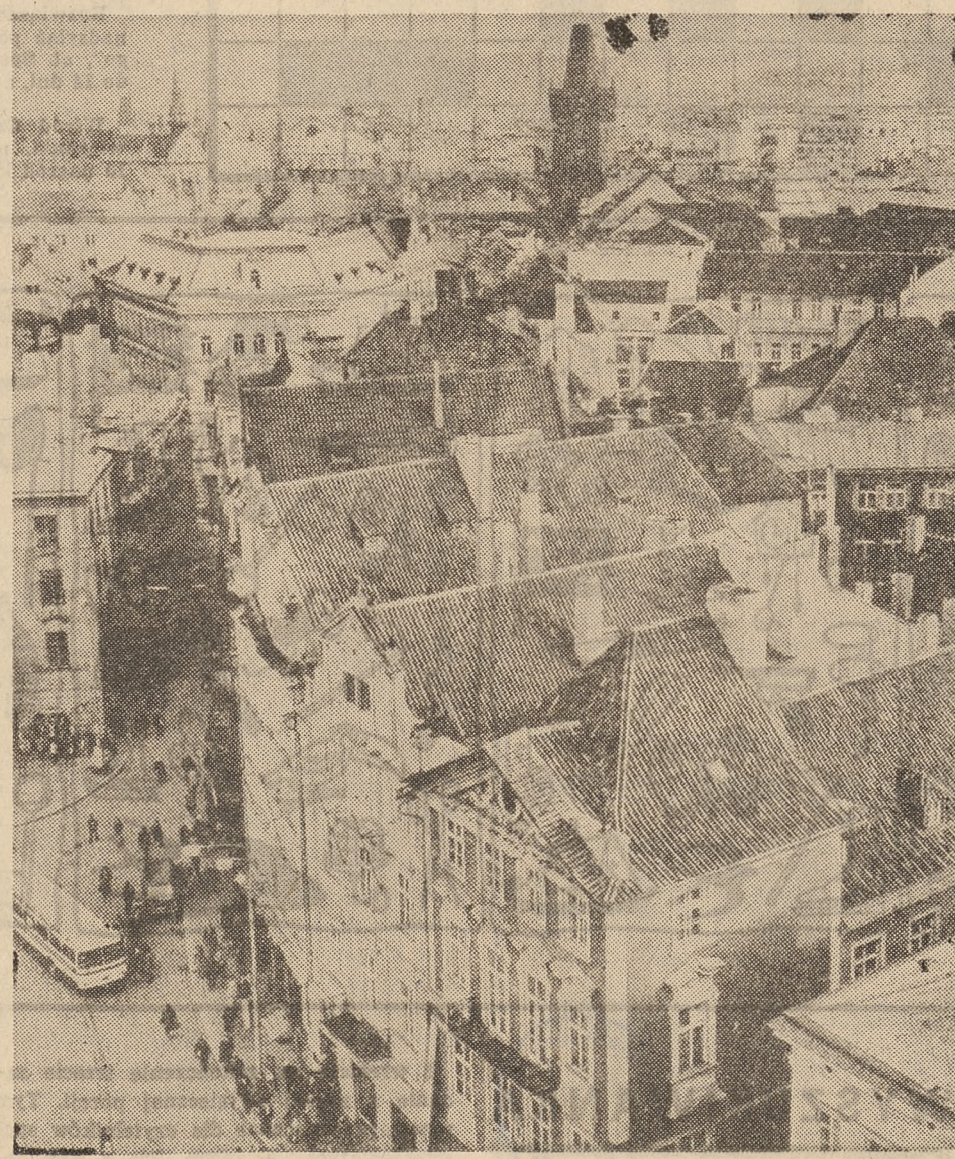
Każdy Związek jest ich gwarantem i kontrolerem. Zobowiązujemy się, że będziemy baczyć, by wszyscy pracownicy oświaty dobrze ja wypełniali. Na i pilnujemy, żeby pieniądze i inne środki, przeznaczone na potrzeby szkolnictwa, do niego trafiały. Teraz taka umowa z chwilą podpisania tej stanie się częścią państwowego planu, elementem polityki państwowej — a planowanie tej polityki za sobą odnowienie konsultacji. Wiadomo, że z tymu wiele nadziei na rozwiązanie problemów oświaty.

★

Do gabinetu sekretarza zarządu przewodniczący Związku, doc. Ladislav Holberst, i przyłącza się do rozmowy. Główny sukces tej katedry już znam. — A tak w ogóle żyje się nauczycielom w Czechach? — pytam. — Nieźle — słyszę w odpowiedzi.

Dodam, że średnie uposażenie w czzechosłowackiej gospodarce narodowej wynosi około 3500 koron. Nauczyciel z 15-letnim stażem, o najwyższych kwalifikacjach, może zarobić około 3250, dyrektor — około 5000 koron. Ale szerzej do tego, jak się żyje kolegom z Tatr — wróć w następnej korespondencji.

MARIA KALINSKA



Fot. CAF — Broniarek



POZIOMO: 1) druga pod względem wielkości rzeka w Afryce, 4) wyspiarska republika w Ameryce Środkowej, 7) znane węgierskie wino deserowe, 9) Zeraśwan, 10) skala muzyczna, która może być i tyfusem, 11) katarakta, 12) państwo wyspiarskie na Morzu Śródziemnym, 13) kraj, w którym leżą: Aleksandria, Giza, Port Said, 14) samochód produkcji radzieckiej, 15) półwysep nad Bałtykiem, 16) zatoka Morza Czerwonego, 19) miasto uniwersyteckie w Japonii, wielki ośrodek przemysłowy kraju, 20) pewien okres w dziejach, 21) mara, widziadło, 22) kura wodząca kurczęta, 24) państwo niegdyś rządzone przez Wielkich Mogołów, 25) zaloty, flirt, 28) leży przy tablicy, 29) nadzienie, 31) pojazd jednośladowy, 32) oryginal, ekscentryk, 38) wrzątek, 42) jedna z republik radzieckich, 43) Czarny Ląd, 44) miasto historyczne leżące w Kotlinie Sandomierskiej, 45) nizezemnik albo krokodyl, 47) znany klub sportowy Gdyni, 50) szczyt w Tatrach Zachodnich (albo część szyszaka zakrywająca nos), 52) tymczasowy budynek, 54) znakomity polski uczony działający w Chile w ub. stuleciu, 55) 100 arkuszy papieru, 56) jeden z najwybitniejszych satyryków w dziejach literatury światowej, 57) słynny wodospad, 58) główne miasto Danii, 59) narzędzie kuchenne, które ślimak ma na języku.

PIONOWO: 1) lewy dopływ Bugu, 2) kraina historyczna w Czechosłowacji i Polsce, 3) klejnot barwy srebrzystobiałej, 4) wiszące łóżko, 5) śniegowy domek Eskimósów (in. iglu), 6) jeden ze stanów USA, 7) pieśni słowicze, 8) owad żyjący zaledwie kilka dni, 17) stolica Ukrainy, 18) krótkotrwale obozowisko, 22) rzeka, lewy dopływ Bobru, 23) siedziba pierwszych nowożytnych igrzysk olimpijskich, 26) smakołyk jedwabnika, 27) słynna wyspa grecka na Morzu Egejskim, 29) jednostka pojemności elektrycznej, 30) zjawisko świetlne występujące na niebie, 33) kłótnia, awantura, 34) imię żeńskie, 35) napój egzotycznego pochodzenia, 36) przeciwnik króla Kraka, 37) rzeka na Pomorzu Zachodnim, 38) rzeka w Czechosłowacji, dopływ Dunaju, 39) pierwiastek chemiczny, 40) marka materiałów fotograficznych produkowanych u naszych zachodnich sąsiadów, 41) rybne jaja, 46) bóg ciemności i kłamstwa w religii staroparckiej (niegdyś rozpowszechnionej w całej Azji Środkowej), 48) miasto uniwersyteckie w Turcji, 49) powściągliwość, 50) ramię Wisły, nad którym leży Malbork, 51) sfilmowana powieść Prusa, 52) może być czekoladowy lub ryśunkowy, 53) drzewo liściaste.

MIKOŁAJE

Liczbami, które widnieją na pięciu czapkach naszych świątecznych Mikołajów rządzi pewna reguła. Jeśli tę logiczną zasadę uda się wam odkryć, nie będziecie za pewno mieć kłopotu, aby odpowiednią liczbą uzupełnić Mikołajową czapkę, na razie jeszcze pustą. O jakiej liczbie mowa?

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie rozrywek umysłowych nr 13 bony PKO po 1000 zł wylosowały: Mariola Kontek — Polnica, Bogusław Borys — Miastko, Aneta Kierepa — Zamość.

Natomiast nagrody książkowe wylosowali: Elżbieta Cieslik — Sworzeń, Czesław Miś — Kup, Marek Kamiński — Wejherowo, Krystyna Sylwestrzak — Gdańsk, Maria Krauze — Otwock.

Rozwiązanie zadań (przynajmniej jednego) prosimy nadsyłać pod adresem: redakcja „Głosu Nauczycielskiego”, ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa, w terminie do 14 dni, z dopiskiem na kopercie: „Mądra Głowa nr 16”.

Wśród Czytelników, którzy nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy 5 bonów PKO po 1000 zł oraz 10 nagród książkowych.



I wreszcie na zakończenie trzecie zadanie z naszej świątecznej porcji. Tym razem przeznaczone dla czytelników spostrzegawczych. A zatem, kto z was po-

trafi — możliwie najszybciej — wskazać przedmioty, które występują na wszystkich tych ilustracjach? Czy uda się wam rozwiązać zadanie bez użycia ołówka?

PROPOZYCJE POD CHOINKĘ

NAGRANIA TONPRESSU — DO ZABAWY I NAUKI

Niedawno gorąco polecaliśmy płyty długogrające dla dzieci. Jeżeli dopiero teraz wpadną komuś w ręce, to kupcie je pod choinkę! Są to: „Kwiatki z Kwiateczką”, „Drzewko Aby Baby”, i „Baśń o złotym ptaku” — bajki muzyczne, których z przyjemnością wysłuchają i dzieci, i dorośli. Ceny płyt umiarkowane (250 zł, 320 zł), a zabawy każda z nich dostarcza na niejedną godzinę. Dodajmy, że na podstawie scenariusza „Kwiaty z Kwiateczką” Janusza Odrowąża powstał wystawiany od niedawna, musical dla najmłodszych, już ogromnie popularny.

Znakomitym prezentem będzie także nagranie — kasetowe w dwóch częściach „Ferdynand Wspaniały”, według powieści Ludwika Jerzego Kerna.

Z nowych płyt gorąco polecamy długogrającą „O nieznośnej Ginah” — baśń afrykańską o miłości mądrego chłopca Mahamudu do najpiękniejszej, ale i nieznośnej dziewczyny z plemienia Gburu — Ginah. Jeszcze raz przekonujemy się, że miłość czyni cuda i z nieznośnej Ginah, przemienia się w sympatyczną i kochającą żonę, w obsadzie doborowa stawka aktorów — Zdzisław Tobiasz, Gabriela Kownacka, Maria Robaszkiewicz, Krzysztof Majchrzak. Cena — 320 zł.

Są już w sprzedaży zapowiadane przez nas wcześniej nagrania; ostatnia z próbną serią S-F — Tadeusza Goska „Drobnny wynalazek”. Niezwykle zdolny inżynier zaproponował „drobnny wynalazek” — koncentrator grawitacji, którego posiadacz ma nieograniczone możliwości wpływu na losy bliznich. Sprawa komplikuje się... Można także kupić drugą część „Pana Soczewki” — „Pan Soczewka w puszczy”. Na drugiej stronie taśmy są wiersze Brzechwy recytowane przez znakomych aktorów (Marek Zawadzka, Bronisław Pawlik, Wiktor Zaborowski) także, których zawsze słucha się z przyjemnością: „Chrzaszcz”, „Ptasie plotki”, „Sójka”, „Słimak”, „Koziołeczek”, „Konik polny i boża krowka”, „Kos”, „Stonoga”. Cena 450 zł. Na kasetę nagrane też zostały „Szkoła przygody Pimpusia Sadelko” i „Na jagody” Marili Konopnickiej, wiersze ciągłe z przyjemnością słuchane przez dzieci, w wykonaniu Stanisławy Celińskiej i Tadeusza Borowskiego.

No cóż, prezentowane tutaj nagrania dla najmłodszych być może znajdują się pod choinką razem z zabawkami i słodyczkami. Wszyscy wiemy, że na maluchach robi wrażenie pełen wójt prezentów. Natomiast starsi zadowolą się zapewne mniejszą liczbą prezentów, ale jakich! Proponujemy pod choinkę mini-rozmówki. Tonpress właśnie wydał ich znakomity wybór: mini-rozmówki esperanckie, hiszpańskie, niderlandzkie, niemieckie i szwedzkie. Nagrania są uzupełnieniem rozmówek w wydaniu koledżowym przez Państwowe Wydawnictwo „Wiedza Powszechna”. Cena kaset — 450 — 550 zł., wszystkie nagrania w wersji stereo.

Ale to nie wszystko. W sprzedaży znalazły się także zespołowe taśmy magnetofonowe z nagraniami uzupełniającymi naukę języków z podręczników. Wśród nich „English Is Fun”. Nagranie jest fonicznym uzupełnieniem podręcznika do drugiego roku nauki języka angielskiego, w wydaniu obejmującym sześć lat nauczania, począwszy od klasy siódmej. Na taśmie wszystkie teksty z podręcznika — w sumie 26 lekcji. Nie trzeba chyba dodawać, że jest to niezastąpiona pomoc na pracy na lekcji i w domu ucznia. Kolejne nagranie — „We Learn English” z tekstami z podręcznika pod tym samym tytułem, dla I klasy liceum ogólnokształcącego i ekonomicznego. Na taśmie cały materiał przewidziany do nauki języka w

początkowym okresie, jeszcze przed korzystaniem z podręcznika oraz działy z poszczególnych Units: Patterns in Situations, Listening Practice, Speaking Practice i Reading. Jest to cenna pomoc w rozwijaniu sprawności posługiwania się językiem zarówno na lekcjach jak i do pracy w domu. Lektorami w obydwu nagraniach są rodowici Anglicy.

Nagranie „Russkij jazyk” dla III klasy liceum ogólnokształcącego jest fonicznym uzupełnieniem tekstów zamieszczonych w poprawionym wydaniu podręcznika Wydawnictwa Szkolnych i Pedagogicznych Wykorzystano tutaj fragmenty takich utworów muzycznych jak: „Piosenka o przyjacielu” Włodzimierza Wysokiego, „Do wzięcia chłopcy” i „Modlitwa François Villona” Bulata Okudźawy, nagrane przez Melodie.

„Chez Les Français” dla uczniów klasy VIII także jest fonicznym przedstawieniem podręcznika do drugiego roku nauczania języka w cyklu obejmującym sześć lat, począwszy od klasy siódmej. Nagranie powinno być cenną pomocą w czasie lekcji, a także służyć indywidualnym odbiorcom.

„Studiando la lingua italiana” — nagranie do nauki języka włoskiego to uzupełnienie foniczne pierwszej części podręcznika pod tym samym tytułem, wydanego w Państwowym Wydawnictwie Naukowym. W cyklu dwudziestu lekcji można poznać główne problemy gramatyki oraz słownictwa, zawarte w podręczniku i wzbogacone dodatkowymi ćwiczeniami w formie dialogów. Nauczanie głównie przebiega jest dla indywidualnego odbiorcy, ale może również być wykorzystane do nauki języka włoskiego — w kuniach. Cena wszystkich nagrań — 800 zł. (LJ)

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jest to wybór książek, które właśnie trafiły do księgarni.

Bolesław Tabarski: CISZA TRAW. WL. Kraków 1988, s. 68, cena 30 zł.

Andrzej Szuba: POSTSCRIPTA. WL. Kraków 1988, s. 90, cena 35 zł.

Edward Kolbus: NA UWIEZI. WL. Kraków 1988, s. 58, cena 40 zł.

Salomea Kapuścińska: POZOSTAŁY NIE BRATA. WL. Kraków 1988, s. 48, cena 35 zł.

ROZNE

Henryk Skrzypczak: ORGANIZACJA I METODY SAMOKSZTAŁCENIA. WSIP, Warszawa 1988, s. 149, cena 120 zł.

Bożena Kowalowa: POWIEŚCI POLITYCZNE LIONA FEUCHTWANGERA. Wyd. Lubelskie, Lublin 1988, s. 288, cena 300 zł.

Tadeusz Pankiewicz: POLONIA W BELGIJSKIM RUCHU OPORU 1940-1944. Wyd. Poznańskie, Poznań 1988, s. 166, cena 180 zł.

Kazimierz Marcinek, Wacław Prosek: BYSTRZYCA KŁODZKA. DŁUGOPOLE-ZDROJ, MIEDZYGORZE I OKOLICE. Przewodnik. SIT, Warszawa 1988, s. 163, cena 200 zł.

Józef Baran: AUTOR! AUTOR. Rozmowy z ludźmi pióra i palety. LSW, Warszawa 1988, s. 288, cena 210 zł.

Mieczysław Morka: POLSKI NOWOŻYTNY PORTRET KONNY I JEGO EUROPEJSKA CELESTRA. Ossolineum, Wrocław 1988, s. 239, cena 550 zł.

Henryk Złaz: HISTORIA AFRYKI WSPÓDNI. Ossolineum, Wrocław 1988, s. 395, cena 600 zł.

Lidia Zonn: O MONTAŻU W FILMIE DOKUMENTALNYM. COMUK, Warszawa 1988, s. 207, cena 300 zł.

POLSKA W LATACH 1793-1804. Wybór tekstów źródłowych do nauczania historii. WSIP, Warszawa 1988, s. 348, cena 280 zł.

Kazimierz Bacis, Bronisław Witkowski: TAPICHERSTWO. WSIP, Warszawa 1988, s. 302, cena 218 zł.

ZAWÓD NAUCZYCIELSKI ZAWODEM DEFICYTOWYM

Minister pracy, płac i spraw socjalnych zarządzeniem z 17 września 1986 r. ustalił wykaz zawodów zaliczanych do deficytowych. W wykazie znaleźli się także nauczyciele we wszystkich województwach z wyjątkiem białskiego. A więc nauczycielom-emerytom, podejmującym zatrudnienie, nie ogranicza się zarobków. Jedynie w woj. bielskim obowiązuje limit 168 tys. rocznie.

Wynika z tego, że informacja z „Głosu” nr 49 z 7 grudnia 1986 r. jest już nieaktualna. Zarządzenie to zawiera „Monitor Polski” nr 29 z 1 października 1986 r., który otrzymaliśmy jednak dopiero 9 grudnia.

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

DYŻURNY WYSTĄP

W wielu szkołach wprowadza się dyżury uczniowskie z oderwaniem od zajęć lekcyjnych. W większych placówkach dyżuruje równocześnie kilkoro uczniów; w budynkach szkolnych, warsztatach, internacie, stołówce. Na lekcjach są nieobecni, w dziennikach jednakże absencji się nie zanotowuje.

Taki dyżurny wyrecytuje swoje obowiązki; jest łącznikiem pomiędzy dyrekcją a nauczycielami (w czasie lekcji?); zbiera papiery po korytarzach i kłatkach schodowych; daje pozór, aby koleżdy nie opierali się o ściany w czasie przerw; dozoruje, aby nikt nie palił papierosów w ubikacjach.

W ciągu roku na każdego ucznia przypada jeden lub dwa takie dyżury. Pomnożmy te dni nieobecności. Czy nie szkoda tych lekcji?

Nie neguję konieczności dbania przez uczniów o porządek i ład w szkole. Jednakże wdrażanie do samowychowania i samodzielności nie powinno kolidować z podstawowym obowiązkiem ucznia: w czasie lekcji — na lekcjach?

Wyznaczony uczeń może przecież przyjść do szkoły trochę wcześniej niż reszta. Będzie miał czas na niezbędne porządki w klasie i obejściu. Na każdej przerwie stoi na swoim posterunku. Gdy zachodzi potrzeba — pozostaje po lekcjach na kilka minut do dyspozycji wychowawcy.

Natomiast w internacie uczniowie mogą pełnić dyżury kilkogodzinne po lekcjach. W takich warunkach wychowanek-uczeń nauczy się, że prace społeczne wykonuje się poza obowiązkami, kosztem własnego wolnego czasu.

Można również wciągać młodzież do dyżurów w czasie wywiadówek, akademii, zawodów sportowych itp.

STANISŁAW KACZMAREK
Wrocław

W CZĘSTOCHOWIE PRZEGRĄŁ KALISZ

W końcu października, z inicjatywy Kuratorium Oświaty i Wychowania w Częstochowie, odbył się mecz nauczycieli i pracowników oświaty pomiędzy Częstochową i Kaliszem w czterech dyscyplinach sportowych.

Zawody rozegrano w IV LO im. H. Sienkiewicza i MOS „Żak” w Częstochowie.

A oto wyniki poszczególnych konkurencji:

siatkówka — 3:0 (dla Kalisza)
tenis stołowy — 12:1 (dla Częstochowy)
szachy — 5:1 (dla Częstochowy)
brydż sportowy — 62:33 (dla Częstochowy).

Gościom wręczyliśmy pamiątkowe albumy oraz długopisy „Zenit” z nadrukiem „I wielobój sportowy ZNP, Częstochowa, 18.X.1986 r.”

Rewanż odbędzie się w Kaliszu, w drugiej połowie kwietnia 1987 r.

BOGUSŁAW PABIN
Częstochowa

OGŁOSZENIA DROBNE

Cyklinowanie, lakierowanie parkietów, układanie przekładki w szkołach na terenie kraju, solidnie i terminowo wykonuje Specjalistyczna Firma „Sotol”, ul. Tejmajera 30, 43-100 Tychy, skrytka pocztowa 46. Uwaga — lakiery nietoksyczne.

363

SZTANDARY wykonuje wyspecjalizowana pracownia „Haft Artystyczny” — mgr inż. Henryk Kledzik ul. Kościuski 76, m. 4, 61-892 Poznań, tel. 562-14.

385

Pomóż szczęściu, Napisz HALSZKA, Zary. Oferty krajowe, zagraniczne, towarzyskie.

412

TYGODNIK ODZNACZONY



KRZYŻEM
KOMANDORSKIM
ORDERU
ODRODZENIA
POLSKI



ZŁOTA
ODZNAKA
ZNP



MEDALEM
KOMISJI
EDUKACJI
NARODOWEJ



KRZYŻEM
ZA ZASŁUGI
DLA ZHP

Redaguje zespół: Halina Drachal (kierownik działu), Lidia Jastrzębska (zastępca sekretarza redakcji), Maria Kalinowska (sekretarz redakcji), Teresa Kownarska (kierownik działu), Jerzy Krasniewski (kierownik działu), Barbara Kozarska (redaktor techniczny), Bożena Niedziółka-Szczepińska, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Witold Salański, Wojciech Sierakowski, Henryk Witalewski (kierownik działu), Zdzisław Nowak, Jan Rocki (redaktorzy graficzni), Marek Suchecki (fotoreporter), Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Irena Kościelniak, Hanna Kalinowska, Magdalena Odolinska.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 8/8, 60-389 Warszawa. Telefony: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy też sobie prawo ich skracania i opatrywania tytułami.

WARUNKI PRENUMERATY:

Instytucje, zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Instytucje, zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę indywidualną zamieszkałym na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę indywidualną w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawców-odbiorców właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wskazy dokonują użycia blankietu wplaty na rachunek bankowy miejscowego oddziału „Prasa-Książka-Ruch”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Pras i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-558 Warszawa Konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-20143-130-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla prenumeratów indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

— do 10 listopada na I kwartał i półroczny roku następnego oraz na cały rok następny

— do 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Koszt prenumeraty krajowej na 1987 r.: kwartalnie — 195 zł; półrocznie — 390 zł; rocznie — 780 zł.

Reklamy i ogłoszenia przyjmują oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Wiedzy i Kultury 00-490 Warszawa ul. Wileńska 12, tel. 22-24-11 wewn. 195 i 221. Ceny ogłoszeń: drobne — 100 zł za 1 wiersz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotychczasowych oznaczonych przez nauczycieli — 50 proc. niższe; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 100 zł; kredytowe: komunikaty 210 zł, nekrologi — 180 zł, reklamy — 180 zł za 1 cm².

Należność za ogłoszenia prosimy wnieść na konto: NBP III O/M Warszawa 104-5223.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” 02-017 Warszawa ul. Nowogrodzka 81/86.

Nr indeksu 55923.
PI ISSN 0017-1263.

P-70. Zam. 2667.

UBEZPIECZENIE ZAOPATRZENIA DZIECI

Troskliwi i przeczorni rodzice myślą o losie swoich dzieci już od ich urodzenia. Starają się jak najlepiej je wychować. Powinni też pomyśleć o zapewnieniu im warunków do startu życiowego. Jedną z form zapewnienia pomocy materialnej dziecku — przy małym obciążeniu finansowym — jest polisa ubezpieczenia zaopatrzenia dzieci zwanego popularnie ubezpieczeniem posagowym.

Zawierając umowę ubezpieczenia posagowego, ubezpieczony — którym może być: matka, ojciec, prawny opiekun bądź inny krewny lub powinowaty — sam określa wysokość sumy ubezpieczenia, okres trwania umowy i formę zapłaty składki — jednorazowo czy ratalnie. Po upływie umówionego okresu ubezpieczenia, uposażone dziecko otrzymuje ustaloną w polisie sumę wraz z dodatkowym świadczeniem (tzw. premią ubezpieczeniową).

Uposażone dziecko otrzyma wszystkie świadczenia również i w tym przypadku, gdy opłacanie składek do PZU zostanie przerwane ze względu na przedwczesny zgon osoby, która zawarła umowę z PZU Państwowy Zakład Ubezpieczeń oferuje kilka wariantów ubezpieczenia posagowego.

Ubezpieczenie ze wzrastającą sumą ubezpieczenia i rentą według taryfy VIII, które może zawrzeć matka, ojciec lub prawny opiekun dziecka. Ubezpieczenie to zapewnia uposażonemu dziecku:

● jednorazowe świadczenie i premię ubezpieczeniową wynoszącą 8,3 proc. rocznie, a jeżeli składka opłacona jest jednorazowo — 13 proc. rocznie,

● rentę miesięczną w wysokości 2 proc. sumy ubezpieczenia, płatną od dnia przedwczesnego zgonu osoby zawierającej umowę do końca umówionego okresu ubezpieczenia.

Ubezpieczenie ze wzrastającą sumą ubezpieczenia i rentą według taryfy X, które zawierają jednocześnie ojciec i matka dziecka, zapewnia uposażonemu dziecku:

● jednorazowe świadczenie wraz z premią ubezpieczeniową wynoszącą 10,8 proc. rocznie, a przy jednorazowo opłaconej składce — 15 proc. rocznie,

● rentę miesięczną w wysokości 2 proc. odpowiednio podwyższonej sumy ubezpieczenia — w przypadku zgonu jednego z rodziców oraz drugą rentę w wysokości 50 proc. uprzednio ustalonej renty — w przypadku zgonu drugiego z rodziców.

Jeśli w okresie ubezpieczenia dziecko wskutek nieszczęśliwego wypadku dozna trwałego co najmniej 80-proc. inwalidztwa lub zostanie zaliczone do I lub II grupy inwalidów, renty z umów ubezpieczenia zawartych według taryfy VIII i X są wypłacane dożywotnio. Niezależnie od formy ubezpieczenia z rentą, Państwowy Zakład Ubezpieczeń prowadzi także ubezpieczenie zaopatrzenia dzieci bez renty, z podwyższoną corocznie sumą ubezpieczenia o 7 proc. przy opłacie składek ratalnie i o 11 proc. przy opłacie składki jednorazowo. Umowę tę mogą zawrzeć poza rodzicami także dziadkowie dziecka lub inne osoby posiadające pełną zdolność do czynności prawnych. Szczegółowych informacji udzielają inspektoraty i pośrednicy ubezpieczeniowi PZU.

PRZED BURZĄ

Józef Czechowicz ma swoją rozległą „literaturę przedmiotu”, a w Lublinie pomnik i muzeum. Kazimierz Wyka pisał o nim pracę krytyczną jeszcze w czasie okupacji. Spuścizną autora „W błyskawicy” zajmowali się Krzyszanowski i Różewicz, Herbert i Miłosz, Klak, Sandauer oraz wielu innych twórców i krytyków.

Pisarz związany był z Lublinem nie tylko jako z miejscem urodzenia i miejscem śmierci od bomby niemieckiej. We wczesnej młodości rozwijał tu działalność publicystyczną, redaktora i poety, dał się też poznać jako wzorowy nauczyciel i kierownik szkoły specjalnej.

Najszcześliwsze swoje lata, choć nie pozbawione dramatycznych powikłań, spędził jednak Czechowicz w przedwojennej Warszawie. Był więc w stolicy i sekretarzem redakcji „Głosu Nauczycielskiego”, i pracownikiem wydawnictw ZNP, ale przede wszystkim, jak przez całe krótkie życie, poeta i opiekunem, przywódcą poetów. Zwłaszcza takich, co podobnie jak on, przybyli do Warszawy z prowincji.

Ponadto współpracował z czasopismami literackimi, a jedno z nich („Pióro”) współredagował.

Stanisław Pięta, znany wiejski poeta i przyjaciel Czechowicza, tak przedstawia jego stołeczne życie:

„Przez pokoje poety na ulicy Smulikowskiego (dziś Spasowskiego) i Narbutta przewinęło się mnóstwo ludzi, młodych filozofów... malarzy, poetów i pisarzy. Tych ostatnich było jednak najwięcej. Obok Peipera, Napierskiego i Horzycy, Andrzejewski, Adolf Rudnicki, Miłosz, Sebyla, Putrament, Zagórski (...) i legion innych młodych i tych najmłodszych, jeszcze w szkolnych mundurkach”.

Czechowicza widziałem na jego własnym wieczorze poetyckim w Warszawie w 1939

roku. Był tegawym, czarnowłosym mężczyzną. „Twarz miał miłą, jedynąca mu od razu ludzi — pisał ten sam jego przyjaciel — czoło szerokie, mocno sklepione...”

W mroku wypełnionej sali (wszystkie takie poetyckie spotkania miały wówczas publiczność) górował swoją postacią, bo stał za jakąś wysoką mównicą. Ubrany był ciemno, wytwornie. Czytał cicho, wyraziście i wprowadzał w nastrój wiersza.

Poeta, uznawany za przywódcę swojego literackiego pokolenia, miał duże wzięcie wśród części młodzieży akademickiej, a moje koleżanki — polonistki z uniwersytetu — adorowały wprost ideę artystyczne przybysza z Lublina. Kazały czcić nawet i ten fakt, że twórca ukłakał wielkich liter oraz znaków przestankowych. Miało to wyrażać jakąś fundamentalną prawdę artystyczną. Nie on jeden zresztą tak postępował.

Jaka miałem później radość, gdy profesor Krzyżanowski opowiedział w czasie wykładu o przygodzie, którą miał z tym, według jego określenia „dziwactwem ortograficznym pana Józefa”. Otóż układając wypisy dla szkół, profesor chciał umieścić w nich także wiersze Czechowicza. Cóż więc zrobić z tak jaskrawym odstępstwem od pisownianej normy? Zatelefonował w końcu do poety z pytaniem, czy by ten nie zrezygnował, na trochę przynajmniej i dla dobra młodzieży, ze swojego sposobu pisania wierszy. „No wie pan — miał odpowiedzieć Czechowicz — ostatecznie... ale będzie to pana kosztowało pół czarnej”.

Więc na przekór koleżankom, kultu Czechowicza nie uprawiałem. Chociaż, nie wiedząc o tym, snulem się jakoś śladami poety. Nie było mi obce seminarium nauczycielskie w Lublinie, które Czechowicz kończył jako proletariackie dziecko. Poznałem nawet jego Brastaw, miejscowość położoną aż gdzieś niedaleko ówczesnej łotewskiej granicy, nad ogromnym jeziorem.

Tróchę tam obserwowałem pracę wiejskich nauczycieli, takich właśnie, jak „pan Józef”.

Ale wróćmy do warszawskiego wieczoru autorskiego. Czechowicz czytał na nim liczne swoje wiersze. Jeden z nich brzmiał w mojej pamięci dotąd w całym kontekście tamtego spotkania: w nastroju sali, a także we wdzięcznej melodii refrenu jakby z wiejskiego zaśpiewu. A więc słyszę głos Czechowicza:

„Oj malowany panie muzykancie
zła chwila zła chwila
już się most z pawiem na młynowym
stawie

przechyla”

Recytacja była pełna umiaru i dyskrecji, a jednocześnie jakiejś poetyckiej żarliwości.

„Oj skrzypki skrzypki z samorodnej lipki

zakwila zakwila
dlugo się będą osmucaly chmiele
tą chwila”

Wiersz, który tu cytuję, na polu z pamięci, odszukałem później w zbiorze „nuta człowiecza”, ostatnim, jaki Czechowicz wydał przed swoim tragicznym, wojennym zgonem w 1939. Myślę, że wtedy w Warszawie czytał także utwory sąsiadujące w tym tomiku z wierszem przytaczanym. Może już wówczas postylizował bardzo potem znany wiersz „ze wsi”?

„tych kijanek tych praczek u potoczka
kujawiak kujawiacek”

Po takim refrenie wprowadza nas autor w opis krajobrazu aż pociemniałego od urody prawdziwie polskiej nawałnicy. „Bura burza od boru i jak bór dudni piorun...”

Wiersze Czechowicza, jeszcze bardziej niż innych poetów, nie dają się streszczać. Myśli wydobyte z poetyckiego tworzywa inaczej znaczą. Ale jedną z nich, odmienianą na wiele sposobów w różnych jego utworach, przytoczę. Bo choć okrutna, lecz zrosnięta z poetą na zawsze: było to oczekiwanie rychłej zbiorowej zagłady wojennej i własnej śmierci.

Można powiedzieć, że doznanie takie nie jest obce wierszom Polski i świata. Niemniej Czechowicz znany był z tej „wycekującej postawy” także i w życiu. A w wierszach...

W jego utworach to stale wytyczanie słuchu i łowienie nim „tętnu rumaków apo-

kalipsy” było czymś więcej niż obsesją. Raczej pewnym credo i poszukiwaniem wciąż nowego wyrazu artystycznego dla tej swojej „wiary”. I to nie w żadne tam przemijanie czasu, ale w kres ostateczny, czekający gdzieś tuż za rogami. Już zaraz „będzie się toczył wielki grom” i „zamilnie czas potłucze czas owale luster”.

Cóż zatem wypada czynić? Trzeba żyć tym godniej, im większa jest pewność śmierci. Lękać się płycizny lichego bytowania, jałowej pustki. Oto zakończenie „żałobnej modlitwy”, wiersza z tego samego zbioru — „nuta człowiecza”:

„którego wzywam tak rzadko Panie bo-

lesny

skryty w firmamentu konchach
nim przyjdzie noc ostatnia
od żywota pustego bez muzyki bez me-

śni

Ochroń nas”.

Jeszcze wcześniej, bo choćby w roku 1936, pisał o „pierwszych kroplach burzy”, jakie spadły w „ogrodach ognia”. Przedziwna sprawa. „Ogrody” takie pokrewne są wizjom Baczyńskiego — „płonącym łakom krwi” — tak bardzo znanym dzięki Ewie Demarezyk. Skąd więc ródem ta wyobraźnia, ta metaforyka otchłani? Z kompleksów? Ze Słowackiego? Z naszej historii? Czy ze wszystkiego razem...

Spróbujmy poszukać innych tonów w poezji „pana Józefa”. Czy są? Oczywiście. Oto na przykład „Odezw” jeszcze z lat lubelskich, z 1924, pisana z użyciem znaków pisarskich i wielkich liter. Odetchnijmy z ulgą i czytamy:

„Robotnicy!

Projektuje mnóstwo prac!

Ale najpierw zbudujemy niebo i most.

Most nad zardzewiałym rozbiegiem bys-

trzycy,

A niebo nad miasteczkiem, w którym

śpiewa drożd”.

Radośnie i prawie jak u późnego Gai-czynskiego. Są też w spóściźnie Czechowicza spokojne wizerunki starych miasteczek, są natchnione inwokacje do matki, bardzo biednej i bardzo kochanej. Są reminiscencje z tamtej wojny, w której 17-letni Czechowicz uczestniczył jako ochotnik. Są także wiersze dla dzieci, przekłady Błoka, Jesienina, Kiplinga, Joyce’a... Pozostały eseje, artykuły, listy.

Jest wielu Czechowiczów, jak sam tego chciał i jak to sam głosił. Ale poeta w nich wszystkich — tylko jeden.

POMOŻE, NIE POMOŻE - SPRÓBOWAĆ MOŻNA

AKUPRESURA

Z terminem akupresura spotykamy się rzadko. Również w słownikach go nie spopularyzowano. Łatwiej jest się dowiedzieć o akupunkturę, od której najprawdopodobniej wzięto określenie — akupresura. Przypomnijmy zatem, co to jest akupunktura, a będzie nam łatwiej zrozumieć, czym jest akupresura. Acus po łacinie znaczy igła, a punctura to punktowanie. Czyli igłą nakłuwamy się naskórek w miejscach bólowych i w ten sposób powstaje zabieg, przynoszący ulgę cierpiącemu.

Presja (łac. presco) tłumaczy się słowem naciskać, tłoczyć. Więc akupresura to nic innego jak naciskanie miejsc bolesnych (w

tym przypadku punktów) również mogące przynieść ulgę choremu lub cierpiącemu na jakąś dolegliwość.

Pisząc o tym powołuję się na wiedzę przekazaną mi przez, znaną naszym Czytelnikom, Lucynę Krawciewicz.

Rysunki dłoni do akupresury są dość rozpowszechnione. Idzie o masaż wskazanych na rysunku punktów na dłoni. Niestety, nie zawsze jest on skuteczny głównie dlatego, iż nie wszystkie miejsca na dłoni są tak czułe, jak byśmy tego oczekiwali. U niektórych ludzi, na przykład, przy pewnych chorobach te punkty się przesuwają. Co wówczas zrobić? Najlepiej zastosować

każdorazowo metodę radiestezyczną w celu wyszukania właściwego punktu. Może się on nawet znajdować, na przykład, na powierzchni bocznej palca.

Miejsca masowane ścisła się silnie między zgiętym kciukiem a dwoma palcami. Jednorazowy ucisk nie może trwać dłużej niż osiem sekund! Przy każdym leczeniu bardzo korzystne jest angażowanie wiary i woli, rozluźnienie się i dotlenienie za pomocą głębokich wdechów. Zwiększa to skuteczność, skracając czas zdrowienia.

Oto kilka wskazówek ułatwiających stosowanie akupresury.

Kosci, żeby — jest to punkt pobudzający przytarczyki, działający na odwapnienie, narosła kość. Leży pod najdłuższym palcem lewej ręki o 2 milimetry od fałdy palca. Większość starszych ludzi ma zaburzenia w przyswajaniu wapnia: w naczyniach krwionośnych występuje jego nadmiar, zaś w chrząstkach, kościach i błonach komórkowych — niedobór. Skutkiem są bolesne kurcze np. łydek, silne płamy, skłonność do bezsenności, obstrukcji, zmęczenie, łamające się paznokcie i kości, narosła na piętach lub kregosłupie.

Część tych objawów ustępuje po tygodniu akupresury (3 do 4 razy dziennie po 3 minuty).

Dobrze jest przy tym spożywać preparaty zawierające wapń.

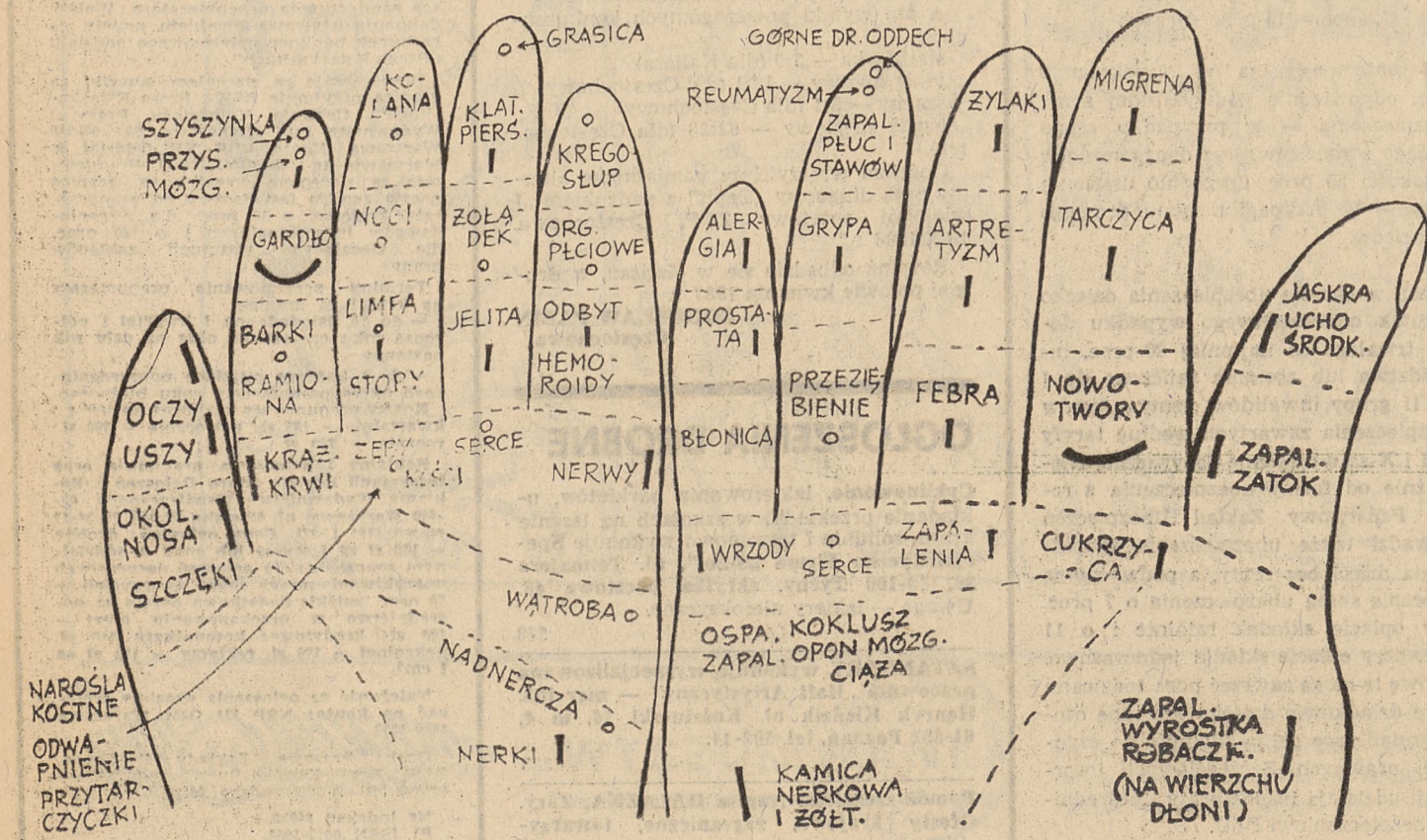
Przebiegienia — punkt na prawym palcu serdecznym, czlonie najbliższym dłoni. Masować po 3 minuty i powtarzać co 3 do 5 minut.

Cukrzyca — receptory trzustki tworzą linię długości około 7 milimetrów na prawej dłoni pod palcem wskazującym. Ilość insuliny wzrasta jedynie wtedy, gdy jest dostateczna ilość wysp insuliny. Sprawdza się wahadłem, czy nie są one zablokowane przez na przykład wirusy grypy itd. Wówczas należy dodatkowo masować „na grype” (co godzina) na środkowym czlonie prawego palca serdecznego, przynajmniej przez jeden dzień. Koniecznie uzupełniać niedobór mikroelementów.

Infekcje, zapalenia — punkty leżące na prawej dłoni, pod najdłuższym palcem nieco z boku od strony palca wskazującego, tworzą linię długości od 1,5 cm. Uciskanie ich wywołuje powstawanie odporności (może przeciwciał?) na bakterie (także odporne na antybiotyki), a nawet wirusy i prawdopodobnie, na mniejsze pasożyty. W przypadkach zaawansowanych, a także na początku infekcji powtarzać 1-3 min. serie akupresury nawet co 10 minut.

Akupresura może usuwać inne dolegliwości. Rzecz prosta cudów oczekiwać nie trzeba, ale ci, którzy praktykują akupresurę, mogli się niejednokrotnie przekonać o skuteczności zabiegów. Masaż w ogóle jest dziedziną wspomagającą zdrowie i usuwającą różne bóle i przypadłości.

MIECZYSLAW BILSKI



FRASZKI

CZASEM...

Dość czasem coś odszukać — weale nie trzeba zaraz wynaleźć.

Czasem w jedności
sila słabości.

JERZY LESZCZYŃSKI

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE

który ukaże się już w Nowym, 1987 Roku przeczytacie: ● Korespondencje z Węgier ● Flirt (szkoły) z komputerem ● Z badań nad zawodem: cele zawodowe